№ 19 Warszawa, dnia 1 (13) Maja 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MARYA STUART
W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

Pomimo zgody z królową nie odzyskał Murray pierwotnego stanowiska. Królowa otaczała się doradzcami katolickimi. Huntly został kanclerzem w miejsce Mortona, a wpływ jego powiększył się jeszcze przez małżeństwo siostry jego, Jane Gordon, z Bothwellem. Bothwell, obdarzony najbogatszemi opactwami i najbardziej wpływowemi posadami, wodził teraz rej w państwie; a jakkolwiek protestant, jako zacięty nieprzyjaciel Anglii był dobrym stronnikiem królewej. Zyskał on jej względy tem głównie, że bezwarunkowo godził się na jej politykę, a kiedy protestanccy lordowie rokosz przeciw niej podnieśli, on z potężnem stronnictwem swej rodziny stał jako jej obrońca. Zresztą nie można mu odmówić zdolności, był energiczny, w walkach domowych dzielny, otwarty i śmiały, a co u Maryi wiele znaczyło, przy silnej męzkiej postawie, był bardzo przystojny. Marya, która miała męża niedołężnego, która szukała silnej podpory męzkiej, zwróciła się ku Bothwellowi, a że łatwo ulegała wpływom, wkrótce więc dała się im całkiem porwać.

Ostatni jeszcze raz trzeźwiej spojrzała w stosunki polityczne i przekonała się, że tylko stronnictwo protestanckie może jej dać rękojmię bytu, że tylko zupełne tolerowanie wyznania i zaufanie, może utrzymać wewnętrzny spokój i zewnętrzną potęgę. Czując się już słabą, a nie będąc jeszcze zupełnie bezpieczną, udała się do królewskiego zamku w Stirling. Murray, którego nową obdarzyła łaską, towarzyszył jej i na zamku zamieszkał. Względy polityczne tak dalece przeważały u Maryi, że wydała rozkaz Bothwellowi przywrócenia w kraju porządku, a pod żadnym warunkiem nie pozwoliła mu przebywać w Stirling. Te zdrowe rady Murray'a skutkowały.

Dnia 19 czerwca przyszedł na świat syn jej, późniejszy król Szkocyi, Jakób VI. Wiadomość tę przyjęła Elżbieta niechętnie, bo przeczuwała, iż zdarzenie to zjedna Maryi nowych przyjaciół w Anglii. Jakoż istotnie katolicy i niekatolicy zaczęli występować głośno z żądaniem, ażeby Elżbieta uregulowała prawo dziedzictwa, gdyż jako niezamężna, prawem dziedzictwa musiała spadkobiercą korony uczynić syna Maryi. Lecz Elżbieta oparła się temu stanowczo, a natomiast napisała do Maryi list bardzo serdeczny, w którym zapewniała ją, że nigdy wrogo przeciw Szkocyi nie wystąpi, jeżeli ta nawzajem za życia Elżbiety żadnych praw do korony angielskiej rościć nie będzie. Marya była tem uradowana i wysłała natychmiast posłów dla przeprowadzenia ugody.

Lecz był to ostatni krok w jej polityce. Ostatni to raz Marya okazuje w pełni swe zdolności dyplomatyczne, ostatni raz jest taką, jaką być powinna królowa. Ilekroć odsunęła od siebie wszelkie osobiste zachcianki i namiętności, każdy krok jej zdumiewał rozsądkiem i rzecz naturalna, najlepsze za sobą pociągał skutki. Cały jej błąd był w tem, że niestety, nie mogła, czy nie umiała nigdy długo wytrwać w dobrem postanowieniu.

Po odbytej słabości udała się Marya z końcem lipca w towarzystwie Murray'a do hrabiego Mar, gdzie także przybył Darnley. Był on niezadowolony i zamiast zgody z żoną nieustanne wiódł z nią spory; wreszcie oświadczył że nie pojedzie do Edynburga, dopóki ona nie oddali ze swego otoczenia protestanckich lordów, których się obawiał dla zdrady, jakiej się względem nich dopuścił. Marya, jak z jej postanowienia widzieliśmy, nie przystała na to, w skutek czego Henryk ją opuścił i udał się do ojca swego do Glasgowa, nieustannie listami pełnemi skarg i wyrzutów żonę nasyłając. W listach tych wszakże nie ma nigdzie wzmianki o Bothwellu; niezawodnie więc, że jakkolwiek Bothwell już wtedy znaczny wpływ miał na królową, stosunku ściślejszego jeszcze między nimi nie było.

Listami temi psuł tylko sprawę Darnley tembardziej, że równocześnie pisał skargi na żonę do papieża, w których zarzuca jej, iż nic dla katolicyzmu nie czyni, ojcu zaś oświadczył, że opuści królestwo i uda się do Francyi. Wszelkie perswazye nic nie pomagały; gdy wszakże później nikt go już nie wstrzymywał powrócił do stolicy. Tu pociągnęła go królowa do odpowiedzialności przed swą radę, na której był obecny poseł francuzki, du Croq. Na zapytanie, coby Henryk miał przeciw Maryi i dlaczego chciał Szkocyą opuścić, nie odpowiadał z razu nic, dopiero gdy du Croq powiedział, że tu idzie o cześć królowej, oświadczył, że Marya nie dała mu żadnych powodów do niezadowolenia, poczem, czując upokorzenie, wyjechał napowrót do Stirling.

Królowa udała się teraz do południowych prowincyi, gdzie Bothwell walczył skutecznie przeciw bandom rabusiów niepokojących państwo. W potyczce z słynnym John Elliot of Park odniósł znaczną ranę. Marya po skończeniu sądów odwiozła go w towarzystwie brata 16-go października. Następnego dnia zachorowała sama: silna febra zdawała się zagrażać jej życiu, okazała się jednak spokojną; syna poleciła opiece królowej Elżbiety i króla Francyi; lordów prosiła, aby za wiarę nie prześladowali w Szkocyi nikogo. Darnley, pomimo, że go o chorobie królowej natychmiast zawiadomiono, nie przybył zaraz, lecz do-

piero 28 go, kiedy miała się już znacznie lepiej. Następnego dnia wyjechał.

Dnia 20 listopada przybyła królowa w towarzystwie brata, Bothwella i wielu lordów do zamku Craigmillar. Darnley przybył tam także, lecz zgoda z królową nie nastąpiła. Henryk nietylko, że ciągle mówił o wyjeździe, ale wzbraniał się nawet być obecnym podczas chrztu syna. Stosunek małżonków był już na takiej drodze, że o zgodzie nie można było nawet myśléć. Wówczasto nieprzyjaciele króla, którzy nie mogli zapomniéć, z jaką czelnością wyparł się przed królową i narodem wspólnictwa z nimi w spisku, złączyli się z tymi, ktorzy dziś stali wiernie przy tronie królowej i poczęli układać plan zemsty.

Lethington radził żądać rozwodu, lecz Marya nie chciała na to przystać, gdyż tem samem pozbawiłaby swego syna prawa dziedzictwa. Zresztą, — papież odmówił był rozwodu i żądał, aby królowa z mężem się pogodziła.

Bothwell i Lethington, do których teraz przyłączyli się Argyl i Athol, starali się do spisku wciągnąć największego wroga króla, Mortona, który żył na wygnaniu w Newcastle. Zawiązano więc ligę przeciw Henrykowi z postanowieniem wierności królowej. Archibald Douglas i James Balfaor pośredniczyli między ligą a Mortonem, który się do niej przyłączył, gdy mu przyrzeczono wyrobić wolny powrót.

Sprzysiężeni udali się raz jeszcze do królowej z propozycyą rozwodu, a lordowie przyrzekli dołożyć wszelkich starań do przeprowadzenia tegoż. Marya przystała wreszcie, pod warunkiem wszakże, ażeby prawo dziedzictwa przyznano jej synowi. Spiskowcy podpisali oświadczenie, w którem Darnley'a nazywają tyranem i tem motywują swoje wystąpienie przeciw niemu.

Gdy Marya dla chrztu syna udała się do Stirlingu, zastała tam już Darnley'a, który, jakby przeczuwając coś złego, nie chciał zamieszkać w zamku, lecz w mieszkaniu prywatnem. Marya starała się nakłonić go do wspólnego mieszkania, lecz usiłowania jej były bezskuteczne; była smutna, często wpadającą w zamyślenie, a westchnienia niejednokrotnie wydobywały się z jej piersi. Z Darnley'em postąpiono lekceważąco, posłowi angielskiemu nie dozwolono nawet tytułować go królem.

Chrzest odbył się 17 grudnia 1566 roku, według obrządku katolickiego. Lordowie protestanccy nie weszli do kaplicy, lecz czekali u wejścia. Darnley ani przy chrzcie, ani na uroczystościach następnych nie był, a kiedy Marya na prośby lordów ułaskawiła Mortona, Lindsaya. Ruthwena i szesnastu innych, nie czując się bezpiecznym, wyjechał do Glasgowa.

Marya oskarżała Henryka w liście do posła swojego w Paryżu o zdradę i zamiar uzurpowania korony w imieniu syna. Było to wszakże tylko powtórzeniem pogłosek bezpodstawnych, które tem chętniej powtórzyła, żeby uzasadnić swą nieprzyjaźń dla męża.

Wkrótce potem zachorował Henryk na ospę. Marya wysłała mu lekarza, lecz sama, pod pozorem obawy zarażenia się, nie przybyła. W czasie choroby napisał Henryk do niej list, w którym robi jej nowe wyrzuty, dodając, że wie o spisku lordów przeciw niemu. To spowodowało królową do czynu, postanowiła, bądź co bądź, dostać męża w swe ręce, ażeby nie uszedł i sprawy spisku nie rozgłaszał. Zresztą nienawiść jej ku niemu od owej chwili w której zdeptał jej godność, należąc do zabójstwa Rizzia i rokoszu przeciw niej, nie zmniejszyła się, osobliwie, że teraz stosunek jej do Botwella zaczyna wchodzić na inną drogę, że teraz miłość opanowywa ją zupełnie, odbierając prawie trzeźwość poglądu na sytuacyą i następstwa; węzeł zacieśnia się, Bothwell spędza w towarzystwie królowej całe dni, z nią mieszka przez ciąg Wielkiejnocy na zamku Drummond, słowem, jest teraz nie doradzcą i prawą ręką, lecz jej kochankiem. Gdy się udaje do Glasgowa, Bothwell dla porozumienia się z Mortonem w sprawie zamachu wyjeżdża także; spotykają się w zamku Callendar, poczem królowa dla łatwiejszego dopięcia celu udaje najlepszą zgodę z mężem, a udaje tak dobrze, że Darnley ani podejrzywa jej o zdradę. Owszem, wierzył w zgodę i pragnął jej. Przy pierwszem zaraz powitaniu powiedział wyraźnie, „że jest młody i wiele ma błędów, lecz chce się poprawić, byle ona mu przebaczyła i żyła z nim jak z mężem, w przeciwnym razie on nawet żyć nie chce.” Marya grała komedyą, była czułą i dobrą, bo jej zależało na tem, ażeby skłonić męża do opuszczenia Glasgowa; w liście, tej samej nocy do Bothwella pisanym, opowiada zdarzenia dnia, między innemi mówi o Henryku:

> „Nie widziałam go w lepszem zdrowiu, nigdy nie słyszałam go tak słodko mówiącego i gdybym nie wiedziała z doświadczenia, że ma serce miękkie jak wosk, a moje jest twarde jak dyament, który tylko twoja ręka zdobędzie, mogłabym miéć litość dla niego. O mało nie dałam się unieść litości, nie obawiaj się wszakże nigdy, stałość moja zostanie aż do śmierci.”

Cała jej czynność była skierowana ku temu, ażeby omylić jego czujność. Henryk był podejrzliwy i bał się o życie, lecz jak Marya sama w tymże liście się wyraziła, dość było jej dwóch, lub trzech słów, by go uspokoić.

Po ostatecznem porozumieniu się, wyruszyła królowa z mężem do stolicy, gdzie za poradą Bothwella wybrano dla Henryka mieszkanie za miastem, zwane Kirk of field. Królowa odwiedzała męża codzień, dwa razy nawet nocowała w jego mieszkaniu, przyczem zawsze była wesoła, śpiewem i żartami czas sobie umilając. Co do zbrodni królobójstwa, to niezawodnie Marya o zamiarze wiedziała, w ostateczne wszakże plany nie była wtajemniczona. W liście do Bothwella pisała: „uczynię, co tylko każesz, ty rób, co uznasz za stosowne.”

Dnia 9 lutego postanowili spiskowcy swój zamiar wykonać. Marya, jak zwykle, przyszła do męża wieczorem. Podczas jej bytności porobiono ostateczne przygotowania. Pod pokojem Henryka urządzono minę, która miała wszelkie ślady zbrodni zatrzéć. W nocy pożegnała męża, mówiąc, że przyrzekła dwom paniom dworskim być na ich weselach, Bothwell z orszakiem i pochodniami odprowadzał królowę.

O północy widziano go na balu weselnym, potem przebrał się i w towarzystwie Dalgleisch'a, Wilsona i innych jeszcze udał się do Kirk of field. Przed domem zatrzymał swych towarzyszów, sam udał się do ogrodu, gdzie go czekali: Tallo i Hepburn. We trzech udali się za pomocą podrobionego klucza do pokojów królewskich. Henryk spał z paziem Taylor'em. Na pierwszy szelest obudził się i chciał umknąć, lecz mordercy go pochwycili i... udusili. Takiemuż losowi uległ paź. Następnie wysadzono dom w powietrze. Na drugi dzień znaleziono ciała w ogrodzie, nie znać było na nich ani śladu eksplozyi.

Po dokonanej zbrodni udał się Bothwell do siebie na spoczynek. Niebawem obudził go służący przynosząc wiadomość o zaszłym wypadku; okazał oburzenie na taką „zdradę” i po naradzie z hrabią Huntly, udał się do królowej.

Przy zwłokach królewskich zebrał się wielki tłum ludzi, lecz Bothwell przybył i ciała kazał do sąsiedniego domu zanieść, gdzie je zamknięto i ludności nie dopuszczano. Natychmiast dało się słyszéć szemranie, że eksplozya z śmiercią króla nie ma nic wspólnego, a szemranie zwiększyło się gdy już w dni kilka cicho i pospiesznie zwłoki królewskie pochowano w kaplicy. Zachowanie się Maryi podnosiło jeszcze bardziej podejrzenie, nie było u niej ani śladu przerażenia, że sama mogła uledz podobnemu losowi, gdyby mieszkania Henryka nie była opuściła, ani śladu oburzenia na taką zbrodnię.

Zamknęła się w swych pokojach i nie przyjmowała nikogo prócz Bothwella. Nawet najwierniejsze sługi nie śmiały się do niej zbliżyć.

Dopiero trzeciego dnia wyznaczono nagrodę 2,000 lir za odkrycie mordercy, a zaraz nazajutrz znaleziono na drzwiach ratusza odpowiedź, w której o morderstwo oskarżano Bothwella, Balfour'a i Chambers'a. W drugiej odezwie wymieniano jako uczestników niektórych ze służby królowej i wskazywano, że czyn ten jest odwetem za zabójstwo Rizzia. Wzburzenie było tak ogólne, że Bothwell obawiał się ukazywać w mieście sam — zawsze otaczała go straż przyboczna, co najmniej sześćdziesiąt ludzi licząca. Marya ani myślała o zachowaniu koniecznego dekorum; 16 lutego opuściła stolicę i udała się do zamku Seton Castle w towarzystwie Bothwella, Huntly'a, Argyl'a Lethington'a, Fleminga i wielu innych. Ku powszechnemu zgorszeniu bawiono się na zamku królowej wesoło, tak, jakby spokoju ich nic nie było zamąciło.

(*D. c. n.)*

DO***

Czy też ty kiedy w chwilach uniesień,
Napotkasz myślą duszę zbłąkaną,
Czy wspomnisz kiedy pamiętną jesień,
W snach wymarzoną, w pieśniach śpiewaną?

Płacząc w igraszki, w niewinne żarty,
Prześnioną przeszłość jak listki w wieniec,
W księdzę twych wspomnień przerzucasz karty,
Czując na licu żywszy rumieniec?

Och, były chwile szczerej przyjaźni,
Zachwytów duszy, serca omamień!...
Z potęgi złudzeń i wyobraźni,
Dziś gorycz w duszy, na sercu kamień.

Minęło wszystko w życia podróży...
Raz chcę ostatni ścisnąć twe dłonie,
Nim ci znów życie serce rozchmurzy,
Nim mnie wygnańca ludzkość pochłonie...

Janusz Bończa.

PAN NAUCZYCIEL.

NOWELLA

BOŻENNY NIEMCOWEJ.

Przekład z czeskiego

przez

Zenona Przesmyckiego.

(Dalszy ciąg.)

II.

Było nas dzieci w szkole czternaście, ośm ławek chłopców i sześć dziewcząt; w pierwszych dwóch ławkach siedziały te co miały tabliczki i elementarze. Kiedy większe pisały, wybierając z przeczytanego bądź rzeczowniki lub czasowniki i inne części mowy, bądź inne przykłady na prawidła gramatyczne albo ortograficzne, bądź też przerabiając zadania arytmetyczne: uczył pan nauczyciel mniejsze dzieci poznawać litery, składać je w zgłoski i słowa, liczyć na kulkach, obrączkach i fasolkach, uczył je nazywać, opisywać i poznawać zwierzęta i kwiaty, w czem zazwyczaj dziatki w ten sposób brały udział, że co w zwierzętach i roślinach same znalazły, to pan nauczyciel pochwalił i wedle potrzeby dopełnił; potem zaś opowiedziane musiały napisać i przeczytać.

Z małemi musiał kochany nasz nauczyciel szczególnie być cierpliwym, skończywszy bowiem swą naukę, szczebiotały i bawiły się, przeszkadzając większym w nauce. Jednak natychmiast znajdował na to sposób i umiał powstrzymać nieporządek, dając im kreślić literki albo cyfry, które się już prawidłowo nazywać nauczyły, albo też sam rysując im kreskami: stolik, krzesełka, domek, pieska i t. p. Szczebiotały i wtenczas niektóre, pokazując sobie wzajemnie swe prace i wytykając sobie błędy, ale to już większym nie przeszkadzało, a jeżeli z większemi miał robić co ważniejszego i trudniejszego, to malutkie pouczywszy się, szły do domu.

W rok później przybył młody pomocnik, który uczył małe dzieci w osobnej izbie. Ja siedziałam w trzeciej ławce, bo przyszedłszy do szkoły, umiałam już dość znośnie czytać, zaczynałam pisać i liczyć umiałam do dwudziestu. Jakkolwiek zaraz od początku dostałam się między czytające, przecież nie spuściłam wzroku z pana nauczyciela i bacznie słuchałam, gdy uczył czytać. Sposób jego był całkiem nowy. Napisawszy mianowicie głoskę, naprzykład *m*, naśladował mruczenie niedźwiedzia i opowiadał o nim, toż samo robiły dzieci, potem do tej mruczącej spółgłoski przypisywał bądź *a*, bądź *e*, bądź *i*, albo *o*, i dzieci czytały natychmiast *ma*, *me*, bez sylabizowania, pisząc jednocześnie na swych tabliczkach. Miał także literki naklejone na tabliczkach, które dzieci wybierały i składały w zgłoski przez niego wymawiane. Jaka to była radość, jakie chichotanie, gdy tak na tabliczce znalazło się *ma-ma* albo *ta-ta*, albo *ko-cię*, albo *ja-go-da*, albo cośkolwiek innego, co dzieci zajmowało! Z jaką radością, z jakim śmiechem pisała to każda dziecina na swej tabliczce kredą lub szyferkiem. Było to dla mnie całkiem nowe i szczerze śmiałam się wespół z niemi, widząc samą siebie w radosnych poruszeniach zdziwionych malców, chociaż sama nie tak się tego uczyłam. Gdy bowiem skończyłam cztery lata, przyniosła mi matka z jarmarku tabliczkę, na której był naklejony arkusik zadrukowany czarnemi literkami; nad niemi wymalowany był czerwony kogutek.

— Masz tabliczkę kiedy pamiętasz piosneczki, możesz spamiętać i literki, powiedziała mi matka.

W sąsiedztwie mieszkał pan stryjaszek,—tak go wszyscy nazywali, aczkolwiek nie był niczyim stryjaszkiem; powiadali też o nim, że umie coś więcej, niż próżno chleb jeść. Do niego to na drugi dzień poszłam pochwalić się tabliczką, a on sam ofiarował się, że mnie nauczy literki poznawać. I nauczył mnie poznawać je, potem składać w sylaby, a z sylab układać słowa; tak igrając powoli nauczyłam się czytać. Prócz tego pisaliśmy także razem, a na wielkich ołowianych guzikach, które miał poprzyszywane do niebieskiej kurtki i długiej kamizelki z wielkiemi kieszeniami, uczył mnie stryj rachować. Ale w lecie małośmy się uczyli, więcej oprowadzał mnie po ogrodzie, uczył jak się które drzewo nazywa, przyglądaliśmy się, jak pszczółki pracują, albo pracowałam z nim w kwiatowym ogrodzie, kopiąc maleńką motyczką i polewając z małej koneweczki. Praca moja nie wiele znaczyła, ale bawiła mnie, a i stryj miał ze mnie uciechę. W zimie uczyliśmy się więcej, a gdy byłam grzeczna, pokazywał mi stryj książkę, w której było dużo ślicznych ptaków i kwiatów; opowiadał mi także czasem bajeczki i uczył mnie śpiewać. Rodzice jednak myśleli, że to tylko zabawka, a nie rzeczywista nauka, że pomimo to trzeba mi iść do szkoły. Oddali mnie więc do Chwalina, jak się później dowiedziałam, z porady stryja, który słyszał, że tam jest dobry nauczyciel.

Kiedy mnie nauczyciel po raz pierwszy do czytania wywołał, wstałam żywo, ale tu przyszło mi na myśl, że wszyscy mnie będą słuchać, zaczerwieniłam się i nie mogłam słowa z siebie wydobyć. Nauczyciel zachęcał mnie łaskawemi słowy:

— Nie bój się, Elżbietko, chociażbyś nawet jeszcze dobrze czytać nie umiała, nie masz się czego wstydzić. Uczonym nikt się nie urodził, każdy musi się dopiero uczyć; i ja, kiedym był taki mały jak ty, także jeszczem nie umiał czytać.

Ośmielona temi słowy wzięłam się do czytania, a kiedym skończyła, pochwalił mnie pan nauczyciel, że szło dość dobrze. Taki był z każdym łaskawy i dodawał nam przez to chęci do nauki.

Przedmioty naukowe miałyśmy takie, jakie są zazwyczaj w normalnych szkołach: czytanie, pisanie, rachunki, gramatykę i religią. Prócz tego opowiadał nam pan nauczyciel przynajmniej raz na tydzień jeden jakikolwiek ustęp z dziejów czeskich. Robił to zazwyczaj w nagrodę, bądź gdyśmy były uważne, bądź gdy w słotę nikt szkoły nie zaniedbał, bądź gdyśmy zadane roboty wszystkie porządnie przygotowały, i t. p. A my większe które wyraźnie naznaczył, musiałyśmy w domu, co i jak spamiętałyśmy, napisać, a w szkole jedno albo drugie, kogo wywołał, napisane odczytać; wskutek czego dzieje ojczyste, przy ciągłych jego poprawkach i dopełnieniach, głębiej się nam, dokładniej i doskonalej w pamięć wbijały.

Mieliśmy także dwa razy na tydzień naukę o ziemi (gieografią). Ale jak? Nauczyciel rozpościerał na tablicy czysty papier, a na tym papierze kreślił nam stopniowo kształt ojczyzny, naprzód granice zieloną kredą, dlatego że są to podobno po większej części lesiste góry; potem przybywały jedna po drugiej rzeki, tudzież jeziora i stawy, znaczone niebieską kredą, a w końcu na tych rzekach, u lasów i u podnóża gór, stawiałyśmy czerwono wsie, zamki, osady, miasta, fortece, i w końcu stołeczne miasto Pragę.

Musiałyśmy także pisać notatki z tego, co nam przy każdej z tych rzeczy osobno było opowiadane.

Na tę to naukę szczególnie zawsze cieszyłyśmy się, bo nauczyciel umiał wiele i pięknie opowiadać o stroju i życiu ludności, o kształcie i urodzajności pojedyńczych okolic, i to najwięcej z własnego doświadczenia, ponieważ większą część Czech piechotą przeszedł i własnemi oczami oglądał.

Nieomieszkał przytem zachęcać do podróżowania, nietylko tych, którzy będą rzemieślnikami, lecz i tych, którzy pługiem ojczystą rolę uprawiać mają.

I śpiew nie był w naszej szkole zaniedbany. Prócz tego, że codzień przed nauką i po nauce, oraz między lekcyami, przechodząc od jednego przedmiotu do drugiego, jakby na odpoczynek, śpiewałyśmy pieśni, przy których pan nauczyciel na skrzypcach przygrywał, miałyśmy jeszcze dwa razy na tydzień wszystkie razem porządną lekcyą śpiewu, która trwała zazwyczaj pół godziny do trzech kwadransy. Uczyłyśmy się wtedy brać nuty — dziewczęta sopranowe, chłopcy altowe (wyjąwszy śpiewaków); uczyłyśmy się czytać, pisać i brać głosem tercye, kwarty, seksty; nowe pieśni śpiewałyśmy zazwyczaj na dwa głosy. Szkolne nasze pieśni miewały dwie, trzy, a najwyżej pięć strof.

Lecz uczyłyśmy się i choralnego śpiewu. Dwóch śpiewaków, pewnych co do nut i głosu, sopran i alt stawiał przed nami: tym naprzód pojedyńczo, potem w harmonii kazał śpiewać kilka razy nową melodyą; później naprzód dziewczęta, potem chłopcy, a w końcu i cała szkoła razem próbowaliśmy, patrząc w swe nuty, nowej pieśni, póki nie szło dobrze. Nauczyciel albo stał przed nami albo chodził między nami ze skrzypcami w ręku, aby przy niejasnej lub głębszej i krzykliwszej intonacyi strunami błąd nasz naprawił. Żeśmy nie zaczęli od chóralnego śpiewu, ale że to, cośmy zaczęli, w tem doszliśmy do doskonałości, o tem nie potrzebuję wspominać.

Trzy razy w tydzień mieli po lekcyach godzinę muzyki chłopcy, którzy na chórze w kościele grali i śpiewali. I ja uczyłam się później śpiewać i grać na fortepianie, ale po trzech latach rzekł mi pan nauczyciel: „Nie męcz się nad tem, Elżbietko, daj temu pokój, z ciebie nie będzie nigdy śpiewaczka ani wirtuozka, prędzejby z ciebie był dobry student, gdybyś chłopcem była. Użyj tego czasu na coś użyteczniejszego.” Usłuchałam go.

We czwartek schodziłyśmy się do ogrodu i pomagałyśmy panu nauczycielowi przy robocie, co dla nas było bardzo użyteczne, bo nam przy pracy nieustannie tłomaczył, dlaczego to lub owo tak się dzieje, a nie inaczej, jak się który kwiat lub drzewo nazywa, i rozmaite rzeczy z historyi naturalnej nam opowiadał.

Większych chłopców uczył nauczyciel szczepić, a miał przy sadzie małą szkółkę; hodował także pszczoły w dwóch ulach i często nam o nich opowiadał, zwłaszcza dając nam za przykład ich pracowitość.

Mawiałam niekiedy, słysząc jak to lub owo tłomaczył:

— Ja to już wiem, to mi stryjek także mówił.

Nauczyciel pytał mnie o stryja, a ja opowiadałam o nim Mówiłam, że mi mawiał:

— Zapamiętaj to sobie, Elżbietko, i dziękuj ka-

żdemu, kto cię czego dobrego nauczy, co i nauczyciel pochwalił i potwierdził.

Po pracy przynosiła nam pani nauczycielowa chleb i mleko, albo nauczyciel zrywał dla nas owoce.

W niedzielę nad wieczorem po nieszporach chodziliśmy, ile nas się zeszło uczniów, z najdroższym naszym nauczycielem na przechadzkę, w czasie której przez całą drogę z nami rozmawiał: tu zobaczyliśmy mrówki na drodze, więc opowiadał nam o nich; tu ptak, ówdzie motyl, tam pole, gdzieindziej stawek, przy każdej rzeczy i wszędzie nas pouczał.

Jednego razu szłyśmy szkaradną drogą koło suchego wzgórza, u stóp którego było bagno. Zatrzymał się tutaj nasz przewodnik i rzekł:

— Widzicie, dziatki, gdyby to bagno gospodarze osuszyli, mieliby kawał dobrego pola więcej; gdyby ten goły pagórek czereśniami zasadzili, miałaby gmina za kilka lat kilkaset złotych dochodu, a gdyby tu drogę naprawili, nie potrzebowaliby koni marnować, wozów łamać i o kwadrans czasu byliby prędzej na miejscu. Pamiętajcie wy chłopcy, jak kiedyś gospodarzyć będziecie, co wam tu powiedział wasz stary nauczyciel.

Najczęściej chodził z nami na jedno wzgórze, z którego na wszystkie strony daleko widać było okolicę. I tu oto uczył nas poznawać strony świata, nazywać pola okoliczne, wymieniać nazwiska wszystkich wsi, które ztąd mogliśmy dojrzéć, wskazywał kierunek, w którym to lub owo znaczniejsze miasto leży, które jużeśmy na mapie dobrze umiały wyszukiwać; opowiadał nam o dziejach i osobliwościach wsi i okolic, na któreśmy patrzały; zwracał naszą uwagę na szczyty szarzejące lub czerniejące w oddali; a kto z nas ten lub ów szczyt najprędzej zauważył, tego chwalił za bystrość wzroku i uwagę, i wymieniał ich nazwy ku ogólnej radości.

Tutaj i w gry rozmaite najchętniej bawiliśmy się, w których i ukochany nasz nauczyciel zazwyczaj brał udział bądź sam, bądź też kierując jednem z nas. Tutaj z wielkiego kamienia urządziliśmy sobie katedrę i z radością, co kto umiał, deklamowały, co i pan nauczyciel razem z nami robił. Tutaj u nóg jego usiadłszy śpiewałyśmy pieśni nasze szkolne z wielkim zapałem, tak że się aż w okolicy rozlegało, a lud z najbliższych wsi wychodził na pola i do ogrodów, aby nas posłuchać.

O! jakeśmy się zawsze na niedziele i święta cieszyły i jak nas zasmucał niespodziany deszcz lub wiatr!

Na takich wyprawach często i ksiądz pleban z nami bywał, który potem dla zwiększenia naszej uciechy bądź mleka, bądź wisien albo innego owocu nam kupował. Przechadzki takie więcej lubiłyśmy, niż każdą inną zabawę. Dlatego też pan nauczyciel karał niegrzeczne dzieci tem, że nie mogły iść z nim do ogrodu albo na przechadzkę. A jak częstobyśmy zasługiwały na karę! ale on nas przecie rzadko i niechętnie karał. Kara zależała zazwyczaj na przepisaniu jakiegoś zdania, tyczącego się winy przepisującego, albo też musiał winowajca przez czas obiadu w szkole pozostać, albo wreszcie nie mógł, jak już było powiedziane, iść z panem nauczycielem do ogrodu lub na przechadzkę. Wielu by wolało znieść daleko dotkliwszą karę, aniżeli to.

Przed rozpoczęciem lekcyi było w szkole jak w ulu, ale gdy wszedł pan nauczyciel wnet robiło się cicho jak w kościele. Nie krzyczał na nas ani nam nie groził; w milczeniu spojrzał po wszystkich, ale tak jakoś, żeśmy usiadły jak trusie, mimowolnie oczy spuściły i ręce złożyły na ławkach.

Niewiele zakazywał, ale co zakazał, tego nikt nie śmiał robić. Skarżyć się jeden na drugiego nikt nie śmiał, bo tego niecierpiał, i tylko wtedy wolno było poskarżyć się podniosłszy rękę, kiedy któremu z nas sąsiad w nauce przeszkadzał.

Wszelkie kłótnie, wymyślanie, wyśmiewanie się z czyjejś ułomności cielesnej lub czegoś podobnego, jak to między dziećmi bywa, najsurowiej było zabronione. Nie znosił także u dzieci nieprzyzwoitych nawyknień, których między nami było wiele rozmaitych, tak że niektórzy uczniowie długo się od nich nie mogli odzwyczaić.

Ja nauczyłam się zmrużać oczy, moja sąsiadka wyciągała sobie ustawicznie palce ze stawów, aż się zrobiły tak giętkie, że je w tył od dłoni odwrócił mogła i była w stanie, jak to dzieci nazywały zrobić „stolik". Jeden z uczniów przy pisaniu trzymał w zębach wskazujący palec lewej ręki, drugi przekrzywiał ustami, trzeci zgrzytał zębami; i inne nieprzyzwoitości były i pomiędzy większemi.

Ale mądry nasz opiekun od wszystkiego nas tego oduczył, w części przez cierpliwe upominanie, w części groźbą, że się na nas gniewać będzie, jeżeli się od tych wad nie odzwyczaimy, któreby nas kiedyś wystawiły na pośmiewisko i obrzydzenie ludzi.

Rano gdyśmy miały iść do kościoła prowadził nas tam, a ustawiwszy nas w porządku i upomniawszy, abyśmy się nabożnie modliły, śpiewały i spokojnie zachowywały, szedł na chór.

Był też dyrektorem chóru i miał pomocników w starszych uczniach synach gospodarzy swoich dawnych wychowańcach.

Szczególnem się wyda, że mógł na nas polegać, nawet na niektórych małych, których jednak nigdy do kościoła nie przymuszał, że się spokojnie i jak należy zachowywać będziemy. Jednak za raz po mszy świętej za śpiew nasz i zachowanie się w kościele, na które w lusterku przed sobą na organach umieszczonem przynajmniej w części zwracał uwagę, bądź chwalił nas bądź karał.

Kto się kilka razy w kościele nieprzystojnie zachował, temu przez czas jakiś iść tam nie było wolno; myśmy potem sami między sobą karały niespokojnych i niepobożnych swawolników, niechcąc zasmucać pana nauczyciela.

Wszystkie miałyśmy pieśni, każde swój zeszycik w pięknej okładce. Każdy znał doskonale nutę. My śpiewałyśmy na dwa głosy, starsze zaś wyrostki i lud niższemi głosami uzupełniali nasz śpiew dziecinny. Dla naszego śpiewu i z dalszych wsi i z obcych osad schodził się lud do nas na nabożeństwo; często zatrzymał się i cudzoziemiec przed kościołem, słuchając naszego śpiewu, i chwalił nas idących z kościoła, czem jednak nigdy nieomieszkałyśmy podzielić się z panem nauczycielem.

Każdego rana, jak wtedy, gdym po raz pierwszy do szkoły przyszła, zapytywał pan nauczyciel przed rozpoczęciem lekcyi, czy są wszyscy. Gdy kogo brakowało, zaraz się pytał, gdzie jest; jeżeli był chory to nieomieszkał odwiedzić go, a kiedy widział, że choroba jest ważna, namawiał rodziców, aby po lekarza posłali, co oni nie zawsze z chęcią czynili, ponieważ lekarz mieszkał o jaką godzinę drogi.

(D. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem skubaliśmy sobie orzechy w lesie, a pan Sylwester rozgniatał je dla nas rękami, z wielkiem podziwieniem naszem dla jego siły.

Odchyliwszy poły długiego swego surduta, usiadł na trawie, a poczciwa marsowa jego fizyognomia jaśniała jakąś szczerą dobrocią.

Odwiedziliśmy też p. Sylwestra w jego pokoju. Była to duża izba kwadratowa, dosyć ciemna, bo tylko o jednem zakratowanem oknie, a przy jednej ścianie stała nieunikniona beczka z octem, przy drugiej — stół z inwentarzami i rejestrami, a nad nim wisiały na sznurku kalendarz wileński i kilka kluczów. Na mocy wrażeń pierwszego dzieciństwa, „izba ekonomska", w pojęciu naszem, musiała koniecznie łączyć cztery zapachy: octu, rzemieni, dziegciu i... fiksatuaru do wąsów. Tu był tylko pierwszy, gdyż p. Sylwestet wąsów nie czernił, dziegciem nic nie smarował i rzemieni ani chomątów w izbie swej na składzie nie miał; nie było tu nawet harapnika — zwykłego berła ekonomskiego w czasach pańszczyźnianych, gdyż w Korotkinowie kary cielesnej nie było, oprócz na żart raczej niż seryo, kilkoma cienkiemi różeczkami po odzieży przez samego pradziadka Fruktusa wymierzanej na klęczącym delikwencie, który mógłby raczej śmiać się niż płakać.

Działało jednak samo to upokorzenie i do kar surowszych uciekać się nie bywało potrzeby.

Umieściwszy się jako tako w izbie p. Sylwestra i obejrzawszy to wszystko, co tam do widzenia było, jęliśmy go prosić, aby nam opowiedział choć jedną przygodę z czasów swojej wojaczki.

— Przygodę? he, he, było tych przygód niemało... Czasy to niezbyt dawne, a smutne, nie chce się przypominać... No, ale opowiem wam chyba, jak będąc w wojsku, o mało nie zginąłem, niosąc dwie gęsi w torbie.

— To to, musi być ciekawe, zawołaliśmy.

— Było to tak, prawił p. Sylwester. Służyłem w piechocie od niedawnego czasu i byłem jeszcze młokosem, bom ze szkół wprost wstąpił do wojska, ale że już prochu się nawąchałem, awansowano mnie właśnie na sierżanta. Było już koło nas trochę krucho i rozłączone oddziały nieza wsze mogły się komunikować. Raz więc, gdy zaszła potrzeba przesłania ważnej depeszy do dowódzcy drugiego oddziału, stojącego o mil kilka, w okolicy zajętej wojskiem nieprzyjacielskiem, wybrano mnie do tego niebezpiecznego poselstwa. Trzeba było dojść do miasteczka i wręczyć tam depeszę w wiadome i pewne ręce. Część drogi odbyć było można lasem, ale ostatnią milę koniecznie wypadało iść gościńcem, po którym snuł się nieprzyjaciel. W miasteczku jeszcze go nie było, ale lada dzień mógł go zająć; należało więc się śpieszyć. Przebrałem się tedy za chłopca wiejskiego, wziąłem na plecy torbę a do niej wsadziłem dwie gęsi — białą i szarą niby je niosąc do miasteczka na sprzedaż. Półtora dnia spędziłem w lesie, żywiąc się byle czem: jagodami (dojrzewały już wtedy poziomki i czernice), orzechami, kawałkami chleba, który miałem w kieszeni, a popijając wodę, której nie brakło, gdyż las ciągnął się

nad brzegami rzeki, a miejscowość znałem doskonale. Na trzeci dzień rano wybrałem się wreszcie na gościniec, a przedtem depeszę, którą miałem poprostu w kieszeni, ukryłem pod skrzydło szarej gęsi, rozumie się przewiązawszy skrzydła. Szczęście mi jakoś sprzyjało, gdyż aż do samego miasteczka nie spotkałem nikogo; zato miasteczko już było zajęte przez przeciwników i zaraz w pierwszej uliczce zostałem zatrzymany przez placówkę.

— Dokąd i po co?

— Niech będzie pochwalony, odrzekłem kłaniając się czapką do kolan wachmistrza, a toć panoczek widzi, że niosę gęsi na rynek.

— Dziś niedziela, targu nie ma, mruknął jeden z żołnierzy.

Zapomniałem o tem istotnie; ale trudno to było w podobnych okolicznościach czekać dnia targowego.

— Coś w tem być musi, rzekł wachmistrz podejrzliwie, a zrewidowawszy mnie dokładnie i nic nie znalazłszy, kazał mnie jednak prowadzić do komendanta.

Odegrywając wziętą na siebie rolę, zacząłem po chłopsku zawodzić i narzekać, a najwięcej biadać, że mi pewno gęsi moje zabiorą, a tu nie ma grosza w chałupie, trzeba kupić soli, trzeba bronę naprawić i kosę nową kupić i t. p.

Znając dobrze język białoruski, nie obawiałem się że mnie wezmą nie za chłopa; ale nie było wątpliwości, że gdyby znaleziono pod skrzydłem gęsiem depeszę, czekała mnie niechybnie kula lub szubienica, jako szpiega.

Prowadzono mnie tedy przez połowę miasteczka, gęsi na plecach moich żałośnie gęgały, a mnie na czoło pot śmiertelny wypływał.

Komendant miał gości oficerów i zabawiał się z nimi kieliszkiem. Gdy mnie wprowadzono, a wachmistrz zameldował, że nic przy mnie nie znalazł, pan pułkownik, poziewając kazał mnie puścić.

— Ale co do gęsi, dodał, te nam się przydadzą: co masz szukać daleko kupca, to tu sprzedasz. Masz oto rubla, rzekł rzucając na stół srebrną sztukę.

Była to zapłata, jak na ówczesne ceny, bardzo hojna; niepodobna mi więc było targować się i drożyć jak to zrazu zamierzyłem; zdjąłem więc, chcąc nie chcąc, sakwy i oddałem żołnierzowi gęsi. Sam nie spieszyłem się z odejściem, bom zmiarkował, że nim żołnierze znajdą depeszę, uciec nie zdołam; uważałem się więc za zgubionego i kierując się zwolna ku drzwiom, szeptałem w myśi modlitwę, polecając duszę Bogu. Jeszcze błysła mi w umyśle ostatnia nadzieja, że może gęsi związane, jak były, pozostaną żywemi do jutra; ale wnet rozległ się głos komendanta do oczekującego we drzwiach wachmistrza:

— Kazać tam zaraz oprawić te gęsi i upiec na obiad.

Struchlałem. Ostatnia nadzieja znikła. Nie kwapiłem się już z odejściem i stałem apatycznie u progu. Żołnierz wyniósł już moje gęsi do kuchni.

— No i cóż tam jeszcze stoisz, fuknął na mnie wachmistrz, wynoś się, pókiś cały...

— A może on której z tych gęsi dał połknąć depeszę, rzucił półżartem jeden z oficerów.

— Hej! ty, zaczekaj, krzyknął wnet na mnie pułkownik. Zaprowadzić go do kuchni i puścić już po oprawieniu gęsi.

— Niech je pomoże oskubać, dorzucił ze śmiechem jakiś major. Prawda że dziś niedziela, lecz w czasach wojennych trzeba czasem pracować i w święto, zwłaszcza że i w niedzielę jeść potrzeba. Za to można mu oddać pierze, bo to dla chłopów rzecz bardzo kosztowna.

— Radbym go oblał smołą i tem pierzem później osypał, jak to niegdyś spotkało Mazepę, dodał ze śmiechem młody jakiś porucznik.

Śród tych żartów, wypchnięto mnie i poprowadzono do kuchni. Szedłem jak na ścięcie, jak gdybym razem z gęśmi miał głowę postradać. W kuchni brodaty kucharz krzątał się koło ogniska i w chwili, gdy wchodziłem, przeciął już pasmo dni obu moich gąsek. Żołnierz, który mnie przyprowadził, objawił kucharzowi cel mego przybycia, sam zaś wyszedł, zapewne dla gorąca, które w kuchni panowało, i stanął opodal przy drzwiach otwartych.

Zabrałem się do skubania gęsi, najpierwiej wziąwszy do rąk szarą. O robocie tej nie miałem wyobrażenia, lecz zabrałem się do niej prawie chętnie i skwapliwie: tak do ostatniej chwili cieszy człowieka zwłoka w jego zgubie, do ostatniej chwili nie opuszcza go nadzieja, a nawet, gdy jedna gaśnie, druga szybko powstaje. W ciągu owych krótkich chwil kilku, których nigdy nie zapomnę, biedna moja głowa pracowała z nadzwyczajnem wytężeniem. Skrzydła gęsi były jeszcze związane ale trzeba było przecie je rozciąć, zabierając się do skubania; depesza wypadnie, a ukryć jej nie ma sposobu; pod argusowemi oczami kucharza i zaglądającego przez drzwi żołnierza. Zwolna przecinając fatalny sznurek, zdecydowałem się przeciąć sobie gardło, jak tylko moja depesza będzie dostrzeżona. Jednocześnie ni ztąd ni owąd przyszły mi na myśl gęsi Kapitolu, a wnet potem i Mucyusz Scewola. To ostatnie wspomnienie natchnęło mnie czynem śmiałym, który z szybkością błyskawicy wykonałem natychmiast: zbliżyłem się z gęsią do płyty kuchennej i niby niechcący, podnosząc rękę, zawadziłem o rączkę dużego rądla i zrzuciłem go na podłogę, a przytem, z umysłu i dla uniknienia podejrzeń, oparzyłem sobie lewą rękę. Powstał zamęt: kucharz rzucił się do rądla; na ratunek przybiegł mu żołnierz, i kiedy zwyczajem ludzi tej klasy, oceniali szkodę i nad nią biadali, przemyśliwając, czy nie da się co uratować, ja tymczasem, silnym sturhańcem ku drzwiom odepchnięty, a mocno gęś trzymając, zdołałem niepostrzeżony wyjąć z pod jej skrzydła papier i ukryć w szmacie, którą zamiast chustki miałem w kieszeni i którą następnie, obwiązałem sobie oparzoną rękę. Jednocześnie stękałem z bólu i chuchałem sobie, zwyczajem włościańskim, na prawą rękę, udając że i tę mam skaleczoną. Skończyło się na tem, że mnie precz wysturchali za pozwoleniem komendanta, który wyszedł był na ganek, a że prędko zmykałem, tyle zbroiwszy i przez żołnierzy szturchany, było rzeczą naturalną. Uciekałem od pałek, któremi mi grożono. Rozumie się, depesza doszła tam, gdzie było potrzeba, a nazajutrz późno wieczorem byłem już z powrotem w obozie.

— A to pan Sylwester drugi Scewola, zawołał z uwielbieniem Oleś, gdy nasz przyjaciel zakończył swe opowiadanie.

— Eh, paniczu, odparł, zapominasz że ja kosztem nieznacznego oparzenia, broniłem się przecie od szubienicy... A przytem co może znaczyć taka bagatela dla żołnierza, który lada chwilę przygotowany jest utracić życie. Nie dlatego opowiedziałem tę swoją przygodę abym uchowaj Boże, miał chełpić się lub pragnąć pochwał, ale prosiliście mnie o coś zajmującego. Spełniłem swój obowiązek, a przytem ów wypadek utwierdził mnie w przekonaniu, że w najrozpaczliwszem nawet położeniu, nie należy tracić nadziei, ale potrzeba aż do ostatniej chwili próbować różnych sposobów i nie pogrążać się w rozpaczliwem odrętwieniu, a jeśli sprawa słuszna to z pewnością Bóg nie opuści. Bóg, zakończył sentencyonalnie, ciągle cuda czyni, a drobnych cudów jest daleko więcej niż rażących i wspaniałych...

— Ciekawym, odezwałem się, jakby wypadało nazwać pana Sylwestra za jego czyn bohaterski? Scewola opalił sobie prawą rękę i odtąd władał tylko lewą, i z tego powodu nazwano go właśnie Scewolą czyli mańkutem; ale jak nazwać tego, co, jak p. Sylwester, postąpił odwrotnie, i spaliwszy sobie lewą rękę, pozostał tylko z prawą?

— Na czas krótki, odparł p. Sylwester, bo widzicie, że teraz wybornie władam obydwiema rękami, a więc żadne przezwisko za to mi się nie należy. Wiedział o tem dobrze nasz pan Sędzia, gdyż byłby mnie nazwał nie Hładyszem, ale inaczej, gdybym był na to zasłużył.

— Zawsze jednak p. Sylwestra, który pozostał tylko z prawą rękę, można nazwać za to *prawym* człowiekiem, odezwał się naiwnie Edmundek.

Ucałowaliśmy go wszyscy za to naiwne i trafne określenie.

(D. c. n.)

ODCZYTY.

Dwa odczyty pani Marenné Morzkowskiej w sali Resursy Obywatelskiej, d. 28 i 29 kwietnia r. b. **O mistycyzmie w literaturze.**

Znana powieściopisarka p. Walerya Marenné (Morzkowska) wobec niedosyć licznie zgromadzonej publiczności wstąpiła na katedrę w dniu 28 i 29 kwietnia, celem wypowiedzenia odczytu o *Mistycyzmie w literaturze*. Lat parę temu p. Marenné z tegoż samego miejsca z trafnym i głębokim sądem krytycznym wygłosiła odczyt o *Zrozpaczonych w literaturze*. Oczekiwania nasze, że usłyszymy odczyt również świetny jak ten o którym wspominamy, niestety zostały zawiedzione, a to z tej prostej przyczyny, że p. Marenné podejmując tak rychło po żywo pozostałych w pamięci tkwiących odczytach prof. Tarnowskiego, poruszyła ten sam co i on temat, który jednak wbrew powszechnie cenionej powieściopisarce przypisywanemu stanowisku w kwestyach społecznych i filozoficznych, był traktowany ujemnie, realistycznie, a więc z pewnym uprzedzeniem. Pod ogólnym tytułem o „Mistycyzmie w literaturze", wypowiedziała szanowna prelegentka swoje poglądy krytyczne i filozoficzne nad „Nieboską komedyą" i „Niedokończonym poematem". P. Marenné ocenia Krasińskiego wedle swego pojęcia, wedle swoich zasad i poglądów, niepozbawionych uprzedzeń doktrynerskich, a przez to samo różni się w rozbiorze i wykładzie utworów Krasińskiego od innych jego komentatorów. P. Marenné jako wierna swoim zasadom, najlżejszy nawet cień szlachcczyzny gromi i wyszydza, ostro wytykając Krasińskiemu jego pociągi, upodobania i wstręty arystokratyczne co nie przeszkadza jej przyznać mu łaskawie jeżeli nie bezstronność, to przynajmniej usiłowania pozostania bezstronnym. Prelegentka słusznie zaznaczyła, że hrabia Henryk jest od samego początku ukochanem dziecięciem poety, gdy tymczasem

Pankracy wprowadzony zostaje nagle bez poprzednich przygotowań. Poeta nie mógł inaczej w tej mierze postąpić. Hrabia Henryk ma tylko w przeszłości racyą bytu, a tacy ludzie jak Pankracy przeszłości nie mają: czy zaś przyszłość ich będzie to wielkie pytanie? Przeciw głoszonym poglądom nic byśmy nie mieli, zdanie bowiem osobiste każdego człowieka szanować umiemy, gdyby nie ta okoliczność, że p. Marenné hołdując popularnym dziś napadom na romantyczność, wlać chciała w nas to przekonanie, że tak Mickiewicz jak i inni romantycy lekceważyli sobie rozum i z niechęcią ba nawet z uprzedzeniem traktowali naukę! Prelegentka na stwierdzenie słów swoich między mistycyzmem Danta a Krasińskiego postawiła nawet tę różnicę, że gdy pierwszy streszczał sumę nauki, to drugi w epoce romantyzmu prowadzi zaciętą przeciw niej walkę. Czy słuszne i sprawiedliiwe są te wycieczki przeciw owej niejako ciemnocie romantyzmu, i czy dlatego, że lekkie chmurki zaćmiły blask słońca głosić należy że jest zupełnie ciemne, nie świeci i nie grzeje, to wątpić należy. Temu wszystkiemu jednak nie dziwimy się, wiedząc że szanowna prelegentka hołduje *trzeźwym* pozytywnym i postępowym poglądom naszej społecznej literatury. Dziwimy się tylko jednak kilku porównaniom, jak to naprzykład: O Niemcu, który jest zimny i nieczuły wobec młodej małżonki, i że widząc dosyć liczne grono kobiet mężatek młodych i panien, szanowna prelegentka bez zająknienia sama jako kobieta, wypowiedzieć miała odwagę! Sam wykład był jasny i barwny tak jak i wszystkie utwory p. Marenné, szkoda tylko że prelegentka widocznie nie posiada daru wygłaszania swoich odczytów, wskutek czego publiczność zgromadzona słuchała bez zajęcia i najpiękniejsze nawet myśli przyjmowała obojętnie pozostając tak zimną jak i wszyscy pozytywiści i ich przekonania.

Na drugim odczycie p. Marenné w dniu 29 kwietnia było jeszcze mniej osób niż na pierwszym — a oklaski nader skąpe mogły przekonać szanowną Prelegentkę, że publiczność jej zdania bynajmniej nie podziela a nawet od siebie odtrąca.

Wł. K. Zieliński.

OBRAZY NA WYSTAWIE

W HOTELU EUROPEJSKIM.

Rzeczpospolita babińska, obraz Jana Matejki.

Warszawa ostatniemi czasy bogato reprezentuje prace jednego ze znakomitszych polskich artystów. Na wszystkich trzech wystawach znajdujemy produkcye pendzla Jana Matejki. Na Wystawie Tow. Zachęty Sz. P. oddawna gości „Stańczyk" ów mistrzowski obraz, który poznała już dawniej warszawska publiczność.

W stroju błazeńskim, zadumany człowiek, którego przeznaczenie pchnęło na drogę wiecznego śmiechu i dowcipu, siadł przed oknem zamyślony. Lalka, ta jego wieczna buława, wypadła mu z dłoni, w oddali po za nim rzęsisto oświetlone salony, w nich pełno ucztujących. Znać że się bawią i weselą, czemuż ten, któremu naznaczono być wesołym, posmutniał?

Tam tylko po za oknem, na ciemno szafirowem niebie błyszczy gwiazda z długą miotłą, czy warkoczem... to kometa... Ale cóż ma kometa w dzisiejszy dzień uroczysty obchodzić ludzi? Ta przybłęda przypłynęła tu po oceanie niezmierzonym przestrzeni i może tylko jeden Stańczyk, z śród ucztujących grona ją dostrzegł.

On myśli. A o czem?... Łez i tak pełno na świecie, porzućmy go więc.

W „Rzeczy pospolitej babińskiej", goszczącej obecnie w salonie p. Krywulta, płótno przepełnione pysznemi postaciami, pękającemi od śmiechu.

Na czele obrazu stoi p. Pszonka, właściciel i posiadacz Babina, koronowany wiankiem ze słoneczników. Oto przedmiot do śmiechu. Któż to są ci śmiejący? Oto po prawej stronie obrazu na sutym fotelu rozsiadł się prymas Mikołaj Dzierżgowski, w arcybiskupich szatach, któremu tuż obok Pszonki stojący poeta Trzycieski podaje pióro do wpisania się w księgę rzeczypospolitej babińskiej. Dalej po za prymasem między innemi głowami, prześliczna twarzyczka pani Pszonkowej małżonki właściciela Babina. Pod bujnym konarem obok prymasa, z zwróconemi oczyma na Pszonkę, stoją razem Bekwark muzyk, który, jak widać, skończył swoją pieśń i wraz z Patrycym spoglądają na świeżo uwieńczonego. Tuż obok nich, śmieje się nasz Bartosz Paprocki autor herbarza, a nieco niżej Jan z Czarnolesia gra w szachy z Marcinem Bielskim, wreszcie po drugiej stronie obrazu cały szereg głów zwrócony jest w te stronę, a wszystko to postacie charakterystyczne i wesołe.

I tak: około stołu na którym jest rozłożona księga, a raczej akta rzeczypospolitej babińskiej, zasiadł Piotr Firlej kasztelan lubelski w żółtej barwnej i kosztownej szacie, obok niego w dużym kapeluszu w okularach stoi, ujmując za akta Kaszowski sędzia, po za nim w dali z kielichami w ręku, w złotych humorach stoją popijający Mikołaj Oleśnicki, Lupa Podlodowski i Slaz. Pomiędzy Firlejem a Kaszowskim znajdują się jeszcze Myszkowski, a za nim nieco dalej Montana doktor. Od tego ogólnego punktu widzenia, który na obrazie Matejki skupia się w Pszonce, na lewej stronie obrazu ugrupowało się inne towarzystwo z Mikołajem Rejem na czele, który siedzącemu tuż obok ze swoją małżonką panią Magdaleną, księdzu Stanisławowi Orzechowskiemu, opowiada jakąś zabawną dykteryjkę. Orzechowski patrząc na Pszonkę słucha Reja, a pani Orzechowska wpół zamyślona, wpół rozmarzona zdaje się czemś innem zajęta.

Jest i tu błazen Gązka, ale już nie Stańczyk; buja się on i wesół z rozkołysanej bujawki, podaje pani Orzechowskiej piękne czerwone jabłuszko! Ów Gązka to jest może najdowcipniejszy pomysł obrazu i najwymowniejsza rzecz dla widza.

Rzecz cała odbywa się w zielonym pięknym ogrodzie, bujnie ocieniającym widzów swemi konarami. Obfite owoce, wreszcie w dali pasieka, zapowiada dostatek w rzeczypospolitej babińskiej, a Rej i Orzechowski świadczą wymownie, że istniała tam tolerancya religijna. Rzeczywiście fantazya szlachty XVI wieku nie miała granic i gdyby rzeczpospolita przetrwała w Polsce dłużej kto wie czyby nie weszła ta zabawa w zwyczaj i nie wyrobiła sobie odrębnego charakteru tak jak to gdzieindziej karnawał, a u nas kulik.

Ale oprócz zabawy, oprócz ogólnego rysu dziejowej rzeczypospolitej babińskiej, Metejko inny miał cel w malowaniu obrazu. Zebrał on tu cały świat uczony XVI wieku, a że chciał tego, mogą być najlepszem dowodem umieszczone tu postacie, które w jednej chwili zebranemi na jednem miejscu w roku 1556 i 1557 być nie mogły.

Jan Łaski bowiem już wówczas nie żył, a Paprocki miał lat zaledwie czternaście. Widzimy więc że Matejce o chronologią nie chodziło, ale o wykazanie tych świetnych czasów złotej epoki. Szkoda atoli, że obok Bekwarka nie znajdujemy tu Wacława z Szamotuł, a obok Reja, Modrzeskiego i Górnickiego; zarówno nie był tu reprezentowany stan polityczny, który tak świetnie z Leszczyńskim, z Siennickim na czele bronił praw i wołał o naprawę rzeczypospolitej, ale już nie babińskiej...

Całość obrazu przedstawia się bardzo pokaźnie, znać tam humor, dowcip, a co przedewszystkiem wielkie ożywienie biesiadników i gości pana Pszonki. Patrząc na niego i na obraz „bitwy pod Grünwaldem", goszczący obecnie w salonie p. Ungra, mimowoli wytwarzamy sobie sąd o przeszłości, jak się niegdyś bito gdy bić musiano i jak się śmiano gdy był powód do tego.

— wcz —

KORESPONDENCYA

ZE LWOWA.

Rozpraszanie się teatru. — Dr. Filip Loebenstein. — Cisza wydawnicza.—Kulisz i jego *Kraszonka*.—Konkurs *komitetu dzielek ludowych*. — Kolej podkarpacka.—Gospodarstwo rybne.—Towarzystwo *ochrony zwierząt*. — Kółka włościańskie.

Nie wiem czy jest drugie miasto, gdzieby jak we Lwowie żyło się w samych przeszkodach. W marcu ruch ogromny, powódź koncertów, odczytów, amatorskich przedstawień, w kwietniu pomimo wielkanocnych świąt cisza głucha. Nasz teatr rozpada się jak stary dom gruz sypiąc na około. Straciliśmy Ładnowskiego i jego żonę, potem p. Wisnowską, potem p. Lubicza, p. Parźnicką, Panią Germanównę, dalej pana Woleńskiego, jego żonę, tak że jakiemiś młodzieniaszkami wojować trzeba. Szczęściem, że się ani dramatów, ani większych komedyi nie daje, a już co nowych oryginalnych, to broń Boże! Operetka i operetka, oto nasz repertuar. *Ridendo castigant mores.* Możecie sobie snadno wyobrazić, jak się poprawiają obyczaje za pomocą *Wojny o tancerkę*, *Pericholi* lub innej podobnej mocno wygorsowanej sztuki. Żeby jednak szerzyć jak najwięcej postęp i cywilizacyą, wysyłamy operetkę na 20 przedstawień do Krakowa i Tarnowa.

Niezwykłe w tej porze ciepła sprawiają, że inne umysłowe rozrywki nagle zamierają, ale nie dlatego, żeby publiczność oddawała się przechadzkom, bo tych nie lubimy. Wolimy skarżąc się na gorąco uciekać z sali koncertowej lub odczytowej, żeby pójść skarżyć się na goraco... do domu. Z domu wychodzi się tylko w niedzielę lub święta w południe i około 6-ej wieczorem, aby zdumionym oczom tłumów okazać niezapłacone suknie. Nasze panie powinnyby zmieniać sposób mówienia i odzywać się tak: „splamiłam sobie nie moją suknię, skradziono mi nie mój kapelusz, zgubiłam nie mój parasolik." Już to największym u nas panem, to kredyt; opanował on tak umysły, że we wszystkich dziennikach sprawę kredytu obrabiają w najrozmaitszy sposób. Jedna tylko śmierć nie kredytuje. Znowu nam zabrała kilku zacnych i zasłużonych ludzi, między nimi D-ra Filipa Loebensteina który na wykłady medyczne uczęszczał w Lipsku i Wiedniu i tam w 1848 roku

brał udział czynny w tamtejszych zaburzeniach, potem jako lekarz przebywał w południowej Rosyi a następnie t. j. w 1850 r. osiadł stale w Brzeżanach i tam po 32-letnim pobycie umarł 9 kwietnia b. r. Miłośnik piśmiennictwa od 1839 r. próbował sił swoich w czasopismach niemieckich. Zapoznawszy się z językiem i piśmiennictwem rosyjskiem, przełożył na niemiecki niektóre pisma Bestużewa: *Martwe dusze* Gogola. Wydał także *Słownik rosyjsko-syryjski*. Następnie przekładał najcelniejsze utwory naszej literatury na niemiecki język. W ostatnich czasach w Bibliotece Reclama umieszczał przekłady powieści Kraszewskiego a nakoniec Sienkiewicza. W „Kłosach" umieszczono zeszłego roku jego portret i życiorys, jak też ocenienie literackiej działalności. Pewnem jest, że oddał nam wielką usługę rozpowszechniając między Niemcami przekonanie, że nie jesteśmy takimi barbarzyńcami, za jakich nas ci panowie kulturtregerzy mają.

U nas wszystko teraz kwitnie prócz piśmiennictwa. Ciekawą bardzo jest broszurka D-ra Antoniego Prochaski: „List Andrzeja de Palatio o klęsce Warneńskiej"; u Gubrynowicza i Schmidta. Opis bitwy Warneńskiej u Długosza, opis, który prof. Caro uważa za najpiękniejszy ustęp historyczny w europejskiem piśmiennictwie ówczesnym, był przypisywany różnym autorom i sprawa ta dotąd była nierozwikłana. Dr. Ant. Prochaska znalazł w bibl. Kórnickiej nieboszczyka Jana Działyńskiego list Andrzeja Palatiusa de Polacio Parmensis, nuncyusza papiezkiego w Polsce i Czechach. Dr. Prochaska dowiódł w tej broszurce że on to jest autorem owego ustępu. Spis dzieł wyszłych u nas w ostatnim miesiącu zakończymy wymieniając jeszcze jedną książkę: *Uzdrojowiska nad morzem północnem* oraz *Poradnik dla leczących się kąpielami wogóle* przez D-ra Jasińskiego. Znany we Lwowie jako wyborny hydropata Dr. Jasiński wielką oddał przysługę wszystkim jadącym do morza lub chcących mieć wskazówki co do używania kąpieli.

Gdyby ramy „Tygodnika" na to pozwalały wartoby było zająć się pismem znakomitego rusińskiego historyka i poety Kulisza, który wydał na samą wielkanoc *Kraszankę* (Pisankę) Rusinom i Polakom, broszurkę poświęconą cieniom Mickiewicza i Szewczenki. Książeczka ta, wyczerpana w kilka dni, tak że nowe w 1,000 egzem. wydanie już wyszło, zrobiła wielkie wrażenie, wywołała sprawę rusińską na pole rozpraw i zajęła nie tylko dziennikarstwo ale i publiczność. Poruszona w niej jest mianowicie potrzeba zgody między Rusinami i Polakami szczególniej wobec naporu Niemców. Historya lub rozumowanie kolejno służą autorowi, aby przekonać tych co w nienawiść międzyplemienną wierzą, na jak błędnej są drodze i na jak błędnych przyczynach opierają tę nienawiść.

Więcej nierównie jest ruchu w sprawach ekonomicznych i oświaty ludowej. *Komitet do wydawania dzieł ludowych* ogłosił konkurs przyznający 150 reńskich nagrody za dobre działko. Wybór przedmiotu pozostawiono autorom, rozmiar najwyżej 3 arkusze druku.

W kierunku ekonomicznym wiele jest zamiarów i chęci, ale jeszcze więcej przeszkód. I tak owa kolej *Podkarpacka* dla której kraj tyle poniósł poświęceń, dla której wotował wyższe podatki, kolej ta nie wyszła z dziedziny projektów. Wytyczenie skończone ale do robót ani widać, aby zamierzano przystąpić. W biurach ministerstw mnóstwo jest jeszcze biurokratów starej daty, którzy potrafią wbrew wotum izby, woli ministrów, dopominania się sejmów, rzecz w szufladce trzymać, szczególniej jeśli to o Słowian chodzi. Inne linie nie mogą się wykluć z powodu naszej niezdarności i lenistwa. Potworzono konsorcya złożone z interesowanych, rozpoczęto jakieś kroki, celem przerznięcia bogatych a dróg pozbawionych powiatów, i zaśnięto na laurach. A czas bieży i cudzoziemskie zboże i wyroby nas wyniszczają jak pijawki.

Sprawa gospodarstwa rybnego lepiej stoi, bo inicyator, szanowny profesor Nowicki jest człowiekiem czynnym i energicznym.

Towarzystwo *gospodarstwa rybnego* (które nazwało się *rybackiem*, choć w niem ani jednego *rybaka* nie ma) założone przez niego, potworzyło mnóstwo filii; pozakładano wylęgarnie, zmuszono władze polityczne do zaopiekowania się rzekami w które wpuszczono setki tysięcy odpowiedniego narybku; ułożono projekt do prawa czyli ustawy ochraniającej rybne gospodarstwo i t. p. Oddało mu niemałą usługę *Towarzystwo ochrony zwierząt*, które odbyło właśnie doroczne walne zgromadzenie. Okazuje się, że publiczność nie interesuje się wcale tem Towarzystwem. Zaledwie wegetuje ono, podtrzymywane działalnością kilku tylko ludzi. Mimo wszakże słabo rozwiniętego życia, Tow. Ochrony Zwierząt nie jest bez wpływu, bodajby na Lwów i na władze. Niedawno np. Towarzystwo upomniało namiestnictwo o większe czuwanie nad sprzedażą trutki. Istotnie przytrzymano na kolei znaczny transport trutki przesłanej żydowi, który ją sprzedaje chłopom. Na nic wszelkie wysilenia Tow. gospodarstwa rybnego, na nic sprowadzania z zagranicy wybornych gatunków, na nic wylęganie, na nic wpuszczanie wychowanego z takim trudem i kosztem narybku, gdy lada kto za parę centów kupioną trutką zniweczy owoc tylu wysileń.

Każde Tow. byłoby równie użyteczne gdybyśmy raz zdobyli sobie więcej wytrwałości. Zaczynać lubimy ale prowadzić cierpliwie ani sposobu.

Na porządek dzienny wchodzi sprawa *kółek włościańskich*. Rozprawiamy o tem bardzo wiele, ale miasta choćby bardzo energiczne nie zdołają wszystkiego wykonać. A obszary dworskie? Zapewne wiele jest takich, które się kółkami włościańskiemi zajmą, ale więcej takich które nic nie zrobią. Z tych pierwszych znowu, ileż zdoła przez dłuższy przeciąg czasu rzecz prowadzić.

Nakoniec jedna trzecia tylko większych posiadłości jest w rękach polskich, resztę mają żydzi, niemcy i t. d. A i z tej jednej trzeciej, jedna trzecia tylko znajduje się pod kierunkiem właściciela a dwie trzecie w dzierżawie. Z tych dwóch trzecich zaś zaledwie jedna trzecia jest zadzierżawiona przez chrześcian, resztę trzymają żydzi. A więc któż się kółkami włościańskiemi zajmie? Liczyć pozostaje na inteligencyą małych miasteczek, a tę poruszyć do pracy ciągłej to także trudność niemała. Cieszymy się z tego zajęcia się *kółkami*, ale nie obiecujemy sobie wiele na razie.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

⁂ W Galicyi starania o szerzenie oświaty pomiędzy ludem, rozwijają się coraz pomyślniej. Wprowadzenie w ruch „Macierzy" pod przewodnictwem J. I. Kraszewskiego, nadawać im będzie coraz praktyczniejszy kierunek. Instytucyi podobnej dotąd nie posiadamy, ale zato mamy trzy pisma peryodyczne dla ludu, wspierane chętnie przez kraj cały, które każde w swoim zakresie pożytecznie bardzo pracuje. Najwytrwalszym z redaktorów tych publikacyi, jest p. Józef Grajnert, od lat już siedmnastu wydający „Zorzę" z illustracyami do której od początku roku bieżącego dołącza dodatek bezpłatny p. t. „Poradnik dla Gospodyń" redagowany bardzo starannie i umiejętnie.

„Opiekun domowych i pożytecznych zwierząt" jest także pismem przeznaczonem dla ludu naszego, wychodzącem rok trzeci pod tąż samą redakcyą co „Zorza". W każdym numerze znajdują się dwie ryciny i artykuły przystępne z zoologii, życia zwierząt i opowiadania ciekawe zniewalające czytelników do łagodnego i rozumnego obchodzenia się ze zwierzętami pożytecznemi.

Cena „Zorzy" i „Opiekuna domowych i pożytecznych zwierząt", wynosi za każde oddzielnie, kwartalnie na miejscu po kop. 75 a z przesyłką pocztową rs. 1.

⁂ Cesarz austryacki dał piękny przykład uznania zasługi skromnej pracownicy, nagradzając srebrnym krzyżem zasługi niejaką Karolinę Donner, magazynierkę w fabryce wyrobów jedwabnych S. Trebisza i syna w Wiedniu, za czterdziestokilkoletnie uczciwe i akuratne pełnienie obowiązków na jednem i tem samem stanowisku.

⁂ „Kronika lekarska" podaje ciekawe szczegóły odnoszące się do kobiet lekarzy praktykujących w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Pierwszą promowaną lekarką w Ameryce północnej była Dr. Elżbieta Blackwell, Angielka, która ukończyła kursa w Genewie, w 1848 roku. W tymże roku założona została w Bostonie pierwsza szkoła lekarska dla kobiet. Z liczby 430 kobiet o których można było zebrać wiadomości, 390 obecnie zajmuje się praktyką, 11 nie praktykowało wcale, 29 rozpoczęły praktykę, ale wkrótce ją zarzuciły. Przed rozpoczęciem kursów lekarskich 75% było panien, 19% zamężnych, 6% wdów. Przeciętny wiek wynosił lat 27. Kobiet doktorów 341 zajmuje się prawidłową medycyną, 13 homeopatyą. Dziesięć na zapytanie uczynione w tym względzie żadnej nie dało odpowiedzi. Praktyką ogólną, jednak przeważnie kobiecą, zajmuje się 269, gynekologią i akuszeryą lub chirurgią 45, oftalmologią 1, atiatrią 4, chorobami umysłowemi 7 a 13 zajmuje się praktyką w szpitalach. Już po otrzymaniu dyplomów 65 wyszło za mąż — z tych 19 za lekarzy; z tej liczby 14 przestało praktykować; z wyjątkiem, same zajmowały się wychowaniem swoich dzieci. Pierwszy szpital dla kobiet lub dzieci, w którym dozorują same kobiety, założony został w Nowym Yorku w r. 1875 przez Dr. Emilię i Elżbietę Blackwell oraz Maryą Zakrzewską. W r. 1858 Zakrzewska założyła podobny szpital w Bostonie; około 12 kobiet-doktorów praktykuje przy missyach i wielkie oddaje usługi.

⁂ Dzienniki włoskie podają wiadomość o kompromitacyi słynnego uczonego niemieckiego Mommsena głośnego ze swej pychy i zarozumiałości. Bawiąc przed parą tygodniami w Rzymie był obecnym na odczycie dra Rossi o chrześciańskiej epigrafice, jej rozwoju i rezultatach. Dr. Rossi rozpoczynając odczyt, powitał obecność „znakomitego gościa" i wyrażił zadowolnienie że w jego obecności będzie mógł mówić o mężu którego uważa za „ojca epigrafiki chrześciańskiej". Zanim dr. Rossi wymienił nazwisko „znakomitego gościa", profesor Mommsen powstał i w przeko-

naniu, że powitanie do niego się odnosi, oraz że nazwa ojca epigrafiki chrześciańskiej do niego tylko stosować się może, ukłonił się mówcy z podziękowaniem. Rossi spojrzał z zadziwieniem na Mommsena ale nie przerywając odczytu, objaśnił że tym „ojcem epigrafiki" którego obecność tu witał, jest nie kto inny tylko ojciec Garucci, przybyły przed parą dniami z Ameryki na dni kilka do Rzymu. Łatwo sobie wyobrazić minę profesora Mommsena, wobec tego niespodziewanego dla niego zwrotu.

*** W miesiącu lutym r. b. upłynęło 300 lat od zmiany kalendarza dokonanej 13 lutego 1582 r. głównie pracą i nauką akademików krakowskich, a zwłaszcza słynnego matematyka i astronoma Marcina z Olkusza.

Jeszcze za czasów papieża Leona X proponował on w r. 1515 ażeby wiosenne porównanie dnia z nocą przenieść na 24 marca i w tym celu w r. 1519 wyrzucić 14 dni, t. j. zaraz po 17 marca rachować dzień 1 kwietnia. Tym sposobem, zdaniem Marcina z Olkusza, poprawionoby omyłkę w rachowaniu czasu według kalendarza Juliańskiego, ponieważ przyjęty czas rocznego obiegu ziemi nie zgadzał się z rzeczywistością. Z różnicy kilku minut co rok, przez ciąg wieków utworzyły się tygodnie.

W pół wieku później, papież Grzegorz XIII, w r. 1572 zgromadził w Rzymie najsławniejszych matematyków, w których gronie zasiadał akademik krakowski, Piotr Słowacki. Na tem zgromadzeniu przyjęto projekt będący poniekąd powtórzeniem podanego poprzednio przez Marcina z Olkusza. Wtedy Grzegorz XIII ogłosił *poprawę kalendarza* Juliańskiego d. 13 lutego 1582 r., dzieło głębokich i wytrawnych jego badań. Tak więc dawniejsza pomyłka została naprawioną, a w tej poprawie kalendarza, Polacy mają wielką i niezaprzeczoną zasługę.

Tak zreformowany kalendarz, od swego reformatora, a raczej twórcy, nazwany został Gregoriańskim, i w tymże zaraz roku oficyalnie przyjęto go we Francyi, w Polsce zaprowadzony został w cztery lata później, t. j. 1586 r. Państwa protestanckie i obrządku wschodniego długo jeszcze potem trzymały się kalendarza Juliańskiego. Powoli jednakże, z wyjątkiem Grecyi, Rossyi, Rumunii i Serbii, wszędzie zaczęto wprowadzać kalendarz gregoryański. Szwajcarya przyjęła go w początkach XVIII stulecia, 1700 r. i w tymże zaprowadzono go w północnych Niemczech. W Anglii przyjęto go w pół wieku później, w 1752, w Szwecyi w 1573.

*** Dnia 17 b. m. aeronauta Ryszard Opolz, przedsięwziął wycieczkę powietrzną balonem „Neue Welt" (Nowy świat) w towarzystwie jednego z członków niemieckiego stowarzyszenia żeglugi powietrznej, inżyniera Wolffa. Balon wzbił się w górę z nadzwyczajną szybkością i zataczając duże koła mknął ku czarnym chmurom wiszącym nad miastem. Na wysokości 6,000 stóp nad ziemią, balon przedzierał się przez pierwsze warstwy chmur śnieżnych. P. Wolff opisuje iż wtedy doznawał wrażenia jak gdyby znajdował się wśród najgęstszej zamieci śnieżnej. Ogromne płaty wirowały nieustannie około balonu i łódki, grubą warstwą pokryły suknie aeronautów oraz dno łódki, a jednocześnie liny i powłoka balonu okryły się grubą warstwą lodu. Nie było widać nic co się dzieje na ziemi, dochodził tylko żeglarzy powietrznych jakby gwar i szum daleki. W stronie wschodniej najgrubsza ciemność panowała na niebie, z zachodu zaś przedzierały się czasami przez chmury różowe promienie zachodzącego słońca. Termometr wskazywał 5 stopni zimna; pod wpływem tej nizkiej temperatury, gaz w balonie zaczął nagle tracić na sile lotnej, tak że podróżni dość szybko znowu zbliżali się do ziemi, bez otwierania wentylu. Około 9-ej wieczór zarzucono kotwicę pod Henningsdorf, przy kolei żelaznej i podróżni, przeziębnięci do szpiku kości, wylądowali bez żadnego wypadku.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Maryanowi A. Wierszyk pierwszy ogłoszony zostanie w „Przyjacielu Dzieci". Inne nie odpowiadają warunkom powszechnie przyjętym. Życzenie spełnione zostanie.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 28 Апрѣля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 19, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Wsparła czoło na ręce i pozostała w tej postawie tak długo że było już późno gdy się ocuciła z zamyślenia. Przedmiotem jej myśli był pan Cattacomb, zastanawiała się właśnie nad tem czy nie przyjedzie ostatnim pociągiem.

Okrywszy się szalem, wybiegła do ogrodu i otworzywszy furtkę wyszła na drogę. Była zupełnie pusta i tylko śpiew słowików przerywał ciszę nocy. Minęła Labirynt nie spotkawszy nikogo, i zbliżyła się już do drogi prowadzącej do stacyi, gdy ukazanie się trzech podróżnych idących od kolei uwiadomiło ją że pociąg już przyszedł; ale żaden z nich nie był wielebnym Gwidonem Cattacomb.

— Co go tam mogło zatrzymać? szepnęła miss Blake wracając do domu.

Gwiazdy iskrzyły się na niebie; choć księżyć nie świecił noc była jasna, i tylko pod drzewami ciągnącemi się wzdłuż drogi było zupełnie ciemno. Miss Blake była już bardzo blizko Labiryntu gdy usłyszała czyjeś kroki. Nie chcąc aby ją ktoś spotkał samą na drodze o tak późnej porze, wsunęła się między parkan i drzewa. Jakże się zadziwiła gdy wyjrzawszy ze swej kryjówki poznała Karola Andinnian. On także szedł pod drzewami, a jak jej się zdawało przesuwał się ostrożnie i tajemniczo. Doszedłszy do bramy obejrzał się na wszystkie strony, jakby się chciał przekonać że go nikt nie widzi, potem wyjął z kieszeni klucz, otworzył bramę, zamknął ją natychmiast za sobą i znikł między drzewami Labiryntu.

Trudno byłoby opisać zdumienie miss Blake. Co to miało znaczyć? W jakim celu sir Karol tam wchodził? Wszak powiedział żonie że nie wie kto tam mieszka, a jednak wsuwał się tam ukradkiem zaraz w kilka godzin po powrocie, i otworzył bramę kluczem który przyniósł w kieszeni! Najdziwaczniejsze myśli, przesuwające się z szybkością błyskawicy w umyśle miss Blake, wprawiały ją prawie w odurzenie; ale po każdej z nich powtarzała się taż sama zwrotka: „Jakże radabym tam wejść“.

Przechodząc ostrożnie na drugą stronę drogi gdzie była furtka do ogrodu Foxwood-Court, spojrzała przypadkiem na domek opleciony klematysami; weneckie żaluzye w oknach były pospuszczane, z wyjątkiem jednej uchylonej do połowy, w której dostrzegła twarz pana Smith, jak jej się zdawało, stojącego tam w celu śledzenia sir Karola.

XIII.

Miss Blake wsuwa się do Labiryntu.

Nazajutrz po opisanych powyżej wypadkach, miss Blake przebudziła się niepokojona różnorodnemi myślami, Łucya przeciwnie wstała wesoła i pogodna jak wiosenny poranek.

— Zadawałam sobie właśnie pytanie, od czego mam rozpocząć moje obowiązki pani domu, rzekła śmiejąc się gdy wstawali od śniadania. Czy mam pójść do kuchni, Tereso?

— Idź najpierw do śpiżarni z kucharką, odpowiedziała poważnie Teresa, zobacz jakie zapasy pozostały z wczorajszego dnia, i wydaj stosowne rozkazy. Może sobie życzysz abym poszła dziś z tobą?

— O! i owszem, nauczysz mnie jak mam gospodarować. Gdy Karol oświadczył się o mnie w Paryżu, matka moja żałowała bardzo że mnie nie wprawiała zawczasu do gospodarstwa domowego.

— Zdaję mi się że masz zdolną i uczciwą kucharkę, a jest to rzecz bardzo ważna dla młodej i niedoświadczonej gospodyni; rzekła miss Blake.

— Alboż to na wsi znajdują się nieuczciwe kucharki? zawołał śmiejąc się Karol. Miss Blake pierwszy raz w tej chwili uszyszała śmiech jego,— tu dodał, nie dzieje się tak jak w Londynie, gdzie służący ciągną dla siebie korzyści przy każdej sposobności, i żywią przyjaciół kosztem swych panów.

— Jak powrócę, rzekła Łucya, gdy miss Blake wychodziła już z pokoju, oprowadzisz mnie wszędzie Karolu; wszak prawda? dodała opierając pieszczotliwie rękę na jego ramieniu; pragnę zobaczyć cały Foxwood.

Skinął twierdząco głową i przycisnął usta do czoła żony.

— A więc każ nam przyrządzić smaczny *roast-beef*, tylko...

Ujął ręce Łucyi, twarz jego zarumieniła się lekko i przybrała wyraz poważny.

— Tylko strzeż się zbytków, Łucyo, dodał stłumionym głosem. Gdy ci wspomniałem o.. o gnębiących mnie okolicznościach, które mogą pogorszyć się jeszcze, nadmieniłem także iż z tego powodu zostanę pozbawionym znacznej części mych dochodów Czy przypominasz to sobie, moja ukochana?

— A! Karolu, jakże mogłabym zapomnieć? Będziemy żyć tak oszczędnie i spokojnie jak tylko zechcesz, dla mnie jest to rzecz zupełnie obojętna.

— Dziękuję ci, moja dobra i droga żono.

Miss Blake czekała tymczasem na lady Andinnian, stojąc w otwartych drzwiach od sieni.

— Zastanawiałam się właśnie nad tem, rzekła zobaczywszy Łucyę, że będzie daleko korzystniej jeżli przyjmiesz dobrą szafarkę, skoro sama nie znasz się na gospodarstwie. Uchroni cię to od wielu kłopotów.

— Cóż znaczą podobne kłopoty! a zresztą pragnę nabyć doświadczenia i zostać dobrą gospodynią. Nie mów mi nawet o szafarce, czuję że bałabym się jej.

— Rób jak chcesz, zależy to zupełnie od twej woli. Zastanów się jednak nad tem że skoro będziecie mieli służbę liczną, kontrola wydatków będzie bardzo utrudniona.

— Ale... nie zamierzamy przyjmować licznej służby, ani też żyć wystawnie, dom nasz będzie utrzymany na taką stopę jak dom moich rodziców.

— Wybacz mi jeźli powiem że w tem nie ma sensu, rzekła miss Blake.

— Potrzebujemy tylko furmana, i Karol zamierza przyjąć tego który służył u sir Józefa, lokaja którybY dopomagał Hewitt'owi, i grooma. Zdaje mi się że kobiet służących mamy już dosyć.

— Powinnabyś pamiętać o tem że sir Karol posiada znaczne docbody, odpowiedziała miss Blake tonem wymówki, byłoby więc niedorzecznością gdybyście utrzymywali się tylko tak jak twoi rodzice.

— Karol nie chce wydawać wszystkich dochodów, ma do tego swoje powody.

— Jeźli tak, to co innego. Jakież to mogą być powody?

Łucya powiedziała to przez brak zastanowienia, pomiarkowała jednak zaraz że nie wolno jej było mówić nic podobnego, i chcąc naprawić swój błąd odrzekła spokojnie:

— Mój mąż ma słuszność, Tereso, że nie chce wydawać zaraz od początku całego dochodu; uważamy oboje że byłoby to prawdziwem szaleństwem .. Wszakże to kuchnia? Wejdźmy, chcę poznać cały mój dom i wszystkich służących.

Po ukończeniu zajęć gospodarskich Łucya wróciła do męża, i Teresa widziała ich chodzących razem po ogrodzie, a następnie około domu.

Miss Blake ubrała się i podążyła śpiesznie do kaplicy świętego Hieronima, ożywiona iskierką nadziei że tam może pan Cattacomb odprawia już pierwsze poranne nabożeństwo. Próżna, zwodnicza nadzieja! Drzwi kaplicy były zamknięte nie, było pana Cattacomb.

Wracając do domu zrywała gałązki dzikiego kapryfolium i głogu z których układała bukiet. Zaczynało ją już niepokoić że pan Cattacomb dotąd nie przybył, i nie pojmowała co mogło być tego powodem. Jeżeli zaszła jakaś przeszkoda, to czemuż nie doniósł jej o tem listownie? Dochodząc do Labiryntu zadrżała pod wpływem zadziwienia, brama była otwarta, a przed nią stała służąca i rozmawiała z chłopcem od rzeźnika siedzącym na koniu, w niebieskiej bluzce, z gołą głową i z koszykiem w ręku. Służąca, kobieta w średnim wieku, była chuda, dość wysoka, miała na sobie suknię z czarnego perkalu w biały deseń, i czepek biały muślinowy z czarnemi wstążkami. Trzymała półmisek z mięsem świeżo jej dostarczonem, i wymawiała chłopcu że dostawione poprzednio było bardzo twarde.

— Trudno teraz o piękne mięso, tłomaczył się chłopiec. Proszę o książeczkę.

— Książeczkę? powtórzyła służąca; zdawało mi się że ją przyniosłam. Zaczekaj chwilkę, pobiegnę po nią.

Chłopiec któremu zapewnie nudziło się stać na miejscu, zaczął jeździć w kółko jakby w deptaku. Miss Blake korzystając ze sposobności prześliznęła się nieznacznie przez bramę, i wbiegłszy w pierwszą uliczkę ukryła się za pniem drzewa rosnącego przy murze, gdzie zamierzała pozostać dopóki służąca nie wróci i znów nie odejdzie. Wkrótce też dostrzegła jej suknię między drzewami.

— Oto masz książeczkę, rzekła do chłopca. Proś pana aby przysłał miesięczny rachunek, a zapłacę mu zaraz. Następnie zamknąwszy bramę na klucz znikła między drzewami.

Osoby działające skrycie i pośpiesznie, nie zachowują zwykle dość przytomności umysłu aby mogły obrachować wszelkie następstwa; zapewnie też i miss Blake nie pomyślała o tem że może

być uwięzioną a jednak tak się stało, i musiała pogodzić się ze swym losem.

Wyszła na ścieżkę i puściła się nią jedynie dla tego aby się przekonać gdzie ją doprowadzi. Po jednej stronie ścieżki był mur ogrodowy zasłonięty żywopłotem i krzakami, po drugiej drzewa labiryntu. Nagle znalazła się przed jakimś nizkiem i sklepionem przejściem zbudowanem wśród labiryntu, które jak sądziła musiało się łączyć z domem, nie mogła się jednak przekonać czy tak było w istocie, ponieważ drzwi do niego były zamknięte na klucz.

Szła dalej ścieżką i w końcu znalazła się znów przy bramie, przypomniała sobie wtenczas słowa Toma Pepp, który jej powiedział że te ścieżki kręcą się ciągle w koło, a nigdzie nie doprowadzają. Miss Blake nie zrażały jednak byle jakie przeciwności: zakradła się tu po to aby coś zobaczyć, chciała więc koniecznie zaspokoić swą ciekawość i weszła do Labiryntu.

I znowu przypomniała sobie słowa Toma Pepp, że kto wejdzie do Labiryntu, nie potrafi z niego, wyjść, jeżeli nie wie jak się w nim trzeba kierować. Miss Blake zaczynała przypuszczać że i pod tym względem miał słuszność; rzeczywiście całą godzinę, ale zdawało jej się że przeszło dwie, błąkała się w tę i ową stronę, weszła do Labiryntu ale nie mogła wyjść z niego.

Wsparła się o drzewo zmęczona, i całkiem niezadowolniona ze swego położenia. Trzeba jednak było próbować jeszcze. Szła naprzód, cofała się, zbaczała na prawo i na lewo; napróżno! nigdzie żadnego wyjścia, żadnej skazówki, żadnego śladu: same tylko drzewa, krzaki i ścieżki zupełnie do siebie podobne.

— Jakże ja sobie poradzę? jęknęła miss Blake, a prawie jednocześnie usłyszała głos służącej którą widziała przy bramie. „Tak pani, zajmę się tem zaraz po obiedzie".

Nie wiedząc wcale o tem, miss Blake znajdowała się w pobliżu domu, jeszcze kilka kroków a będzie wyzwoloną z tego dziwnego więzienia.

Dom był mały i nizki, zbudowany z cegły i nie otynkowany. Miss Blake stała właśnie naprzeciwko szerokiego, obecnie otwartego okna; drzwi wchodowe znajdowały się naprzeciwko trawnika otoczonego kłąbami ślicznych kwiatów. Przy końcu ogrodu widać było oranżeryę, oddzieloną od niego żywopłotem. Służąca rozciągała bieliznę na trawniku, a miss Blake zdawało się że dostrzega wśród niej batystowe chusteczki do nosa. Zapewnie przed chwilą pani zadała jej jakieś pytanie i Teresa usłyszała odpowiedź. Nieco dalej jakiś zgarbiony staruszek klęczał na ziemi, pochylony nad grządką kwiatów. Miał na głowie słomiany kapelusz z szerokiem rondem i takąż samą bluzę jak chłopiec od rzeźnika, tylko że białą i czystą. Włosy jego były zupełnie siwe, i zdawało się że nie ma zębów; widać było wszakże iż w młodości musiał być wysoki i silny.

Miss Blake zaczęła czynić w myśli różne uwagi: Dziwna rzecz doprawdy, że młoda kobieta obrała sobie mieszkanie w tak samotnem miejscu! Ale jakież tu są piękne kwiaty! Ten staruszek bez zębów musi być ogrodnikiem... chociaż zbyt już stary i słaby do podobnej pracy... bardzo też być może iż jest czemś więcej nad to czem się być zdaje. *Dlaczego* ona tu mieszka? Może...

Wnioski i komentarze miss Blake zostały nagle przerwane zjawieniem się w pokoju z otwartem oknem młodej i pięknej kobiety. Stanęła przy stoliku stojącym naprzeciwko okna, i zdawała się szukać na nim czegoś. Miss Blake mogła przypatrzyć się jej dobrze; rysy jej były piękne, płeć biała i świeża, oczy miała błękitne, a włosy jasne i błyszczące jak złote nitki.

— Jakaż ona śliczna! pomyślała mimowolnie miss Blake. Czyby to była mistress Grey?

Młoda kobieta oddaliła się od okna, a wkrótce potem miss Teresa usłyszała dźwięki fortepianu, a następnie pierwsze słowa znanej powszechnie piosenki *Wikarego z Wakefield*.

„Gdy piękna i tkliwa kobieta dozwoli aby ktoś wzbudził w jej sercu miłość szaloną, przekona się, zapóźno niestety! że mężczyźni są zwodzicielami..."

Miss Blake nie zwracała dotąd wiele uwagi na tę piosneczkę, w tej chwili jednak miała ona dla niej jakiś dziwny urok, każde słowo dochodziło do niej wyraźnie, słuchała też aż do końca. Nasuwało jej się ciągle na myśl pytanie: Czy ta piękna pani opiewa swoje własne dzieje?

— Niech się nią Bóg opiekuje! pomyślała, bo nie była znów zimną jak kamień.

Ale jakże się wydostanie z tego zaklętego koła? choćby czekała jak najdłużej nikt nie przyszedłby uwolnić ją z niego. Nie pozostawało jej jak tylko śmiało wyjść z ukrycia; to też w chwili gdy służąca przechodziła przez trawnik niosąc jakieś warzywa, miss Blake wybiegła z labiryntu, i stanęła przed zdumioną, przestraszoną jej pojawieniem się kobietą.

Wytłómaczyła się jak mogła. Przeszła bramę znęcona widokiem tych ślicznych drzew, a następnie zabłądziła. Służąca ochłonąwszy z zadziwienia, odgadła jak się to stało. Ta pani weszła wtenczas gdy ona pobiegła po książeczkę rzeźnika, zostawiając bramę otwartą.

— Zaraz panią odprowadzę, rzekła. Po co było tu wchodzić?

Szła prędko wskazując drogę miss Blake; przebiegały uliczki kręte, wijące się to na prawo to na lewo, i Teresa nie mogła pomiarkować w którą zwracają się stronę,—wszystkie ścieżki były tak podobne do siebie.

— Czy wasza pani mieszka tu zupełnie sama? zapytała miss Blake.

— Tak, pani, odpowiedziała służąca grzeczniej i łagodniej, gdyż przedtem nie ukrywała bynajmniej swego niezadowolnienia, mieszka sama, ze mną tylko i z moim starym.

— Z waszym starym? powtórzyła pytająco miss Blake.

— Tak, z moim mężem, objaśniła służąca widząc że jej nie rozumie. Jest on tu ogrodnikiem.

— A! więc to jego widziałam, zawołała miss Blake; ale zdaje się w zbyt podeszłym wieku do tak ciężkiej pracy!

— O! nie jest znów tak starym jak się zdaje, i może jeszcze pracować, ale ma się rozumiéć że człowiek nękany reumatyzmem nie może już być tak żwawym jak przedtem.

— Jakże wasza pani musi się tu nudzić?

— Bynajmniej; ma ptaszki, kwiaty, muzykę, różne robótki, a prócz tego bardzo lubi ogród, spędza godziny całe w oranżeryi, wśród swoich kwiatów.

— Mistress Grey, wszak prawda?

— Tak, mistress Grey.

— A gdzież jest jej mąż?

— Ona nie ma... to jest, nie ma tu jej męża.

Pierwsza część odpowiedzi była wymówiona tonem ostrym, druga już znacznie łagodniejszym. Miss Blake zwracała na wszystko baczną uwagę i zastanawiała się nad każdem słowem.

— Pan Grey podróżuje obecnie, dodała służąca. Ale stanęłyśmy już u celu.

Doszły rzeczywiście do bramy, służąca wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła ją zupełnie tak jak sir Karol poprzedniego wieczora. Miss Blake zwróciła i na to uwagę że w stosunku do tak wielkiej bramy klucz był bardzo mały.

— Bardzo dziękuję, rzekła, postąpiłam nierozważnie przechodząc za bramę.

— Dzień dobry pani, powiedziała służąca odchodząc.

Miss Blake miała nad czem rozmyślać wracając do Foxwood-Court. Labirynt intrygował ją bardzo. Zdawało jej się to rzeczą nader dziwną, aby tak młoda i ładna kobieta chciała żyć sama jedna w miejscu tak samotnem, nie mając przy sobie nikogo prócz dwojga służących. Miss Blake znała o tyle świat i ludzi, że wiedziała iż mąż mający tak młodą i powabną żonę jak mistress Grey, zabrałby ją z pewnością z sobą. Było więc w tem coś nadzwyczajnego!... zwłaszcza w połączeniu z potajemną wizytą sir Karola której była wczoraj świadkiem.

W czasie awanturniczej wyprawy miss Blake, Lady Andinnian zrobiła także małą wycieczkę. Nie można było powiedzieć że nie zna nikogo w Foxwood, gdyż znała najstarszą córkę pastora, Małgorzatę. Miss Sumnor bawiła niekiedy w domu pastora Blake, szkolnego kolegi i przyjaciela jej ojca. Łucya wyszła do niej właśnie, ale sama tylko, gdyż Karol zajęty jakiemiś interesami nie mógł jej towarzyszyć. W samym środku wsi wznosił się ładny kościół z wieżyczką, wśród starannie ogrodzonego cmentarza; tuż obok znajdowało się probostwo, śliczny domek z werendą ciągnącą się wzdłuż całej fasady, z pięknym ogrodem i przylegającym do niego gruntem.

W jednym pokoju leżała na sofce kobieta może trzydziestoletnia, zmarszczki między brwiami i twarz zapadła, zdradzały długie cierpienia fizyczne lub moralne, a może jedne i drugie; w tej chwili była zajęta szyciem. Wprowadzono tam lady Andinnian, która nie wymieniając swego nazwiska, oznajmiła że chce się widzieć z miss Sumnor. Nie poznała jej w pierwszej chwili.

— Czy to ty, Małgorzato?

Małgorzata uśmiechnęła się łagodnie, ściskając rękę lady Andinnian.

— Tak, to ja Łucyo, jeżeli mi wolno jeszcze tak cię nazywać, jestem bardzo zmieniona, zestarzałam się i zwiędłam.

— Jesteś rzeczywiście zmieniona, a jednak upłynęło zaledwie trzy lata od ostatniego naszego widzenia. Mistress Blake mówiła mi że często jesteś zmuszona leżéć w łóżku.

— Nie podnoszę się już wcale, Łucyo, wyjąwszy wieczorem, aby przejść do sypialnego pokoju, znajdującego się tuż obok. Czasami, gdy jestem trochę zdrowszą, przenoszą mnie w fotelu do kościoła, ale rzadko się to zdarza. Usiądź tu przy mnie.

— Cóż ci jest?

— Jest to choroba kości pacierzowej, ale po co mam nudzić cię tak młodą osobę opisywaniem tak przykrych szczegółów; najsmutniejszą rzeczą jest to że już do końca życia pozostanę w takim stanie.

— Biedna Małgorzato!

Miss Sumnor zaczęła szyć, jakby chcąc tym sposobem zabezpieczyć się od wzruszenia. Łucya patrzyła na nią z wyrazem szczerego smutku.

— Tak utrzymują doktorzy. Ojciec sprowadził z Londynu znakomitego lekarza, ale i ten potwierdził obawy pana Moore.

— Popełniono prawdziwe okrucieństwo, Małgorzato uwiadamiając cię o tem. Nadzieja przyczy-

nia się tak wiele do odzyskania zdrowia. Czy ci to powiedzieli doktorzy?

— Nie, oznajmili to ojcu, a ja dowiedziałam się... przypadkiem, odpowiedziała miss Sumnor, nie chcąc wyznać że ta wiadomość doszła do niej przez nierozwagę macochy—że nie użyjemy silniejszego wyrażenia. Zresztą lepiej że wiem co mnie czeka; byłam dawniej ślepą, a teraz widzę jasno.

— Jakże bolesnego wrażenia musiałaś doznać.

— O! tak, bardzo bolesnego! Trudnoby mi było opisać jak wiele przecierpiałam. Ojciec potrzebował już mojej pomocy, mógł się spuścić na mnie, wyręczałam go w wielu zajęciach! I nagle zamiast być użyteczną stałam się dla niego tylko ciężarem! Teraz jeszcze ta myśl jest dla mnie straszną... To właśnie jest powodem tej zmiany jaką widzisz we mnie, to wyżłobiło na mej twarzy te zmarszczki które nadają mi pozór kobiety w podeszłym już wieku.

— Więc już zawsze będziesz tak cierpieć, Małgorzato?

— Cierpienia moje są teraz bardzo lekkie, Łucyo, odpowiedziała miss Sumnor, spoglądając na przyjaciółkę z błogim uśmiechem. Pewnego dnia ojciec mój wszedł do tego pokoju gdy zostawałam pod wpływem ciężkiego smutku i zniechęcenia, dostrzegł łzy moje, odgadł co się działo w mej duszy, zbliżył się prędko i usiadł na tem samem krześle które ty zajmujesz obecnie. Małgorzato, rzekł czy pomyślałaś o tem że to Bóg zesłał na ciebie to nieszczęście... że taka Jego wola?" a potem mówił długo jeszcze pocieszając mnie i skłaniając do cierpliwego znoszenia mego losu. Gdy następnej nocy trapiona jak zwykle bezsennością, rozmyślałam leżąc w łóżku, jakieś nowe światło przeniknęło mój umysł. Taka jest wola Boga!, pomyślałam, pocóż mam smucić się i uskarżać? To światło wzmagało się stopniowo, Łucyo, i przyniosło mi wielką prawdziwą pociechę! W kilka tygodni później, zdawało mi się że spoczywam pod opieką Boga, że On czuwa nade mną, i czuję się szczęśliwszą niż to zdołam wywypowiedzieć, pomimo licznych prób jakie przechodzę ciągle.

— Więc potrafiłaś nawet znaleść sobie pewną rozrywkę, rzekła Łucya wskazując robotę Małgorzaty.

— Nie tylko rozrywkę, moja Łucyo, mogę cię zapewnić że spędzam czas użytecznie. Szyję jak widzisz, opierając łokcie na deseczce, czytam, mogę nawet napisać list; zarządzam domem, i tak samo jak dawniej uczę ubogie dziatki, które widząc mnie tak cierpiącą są bez porównania pilniejsze i posłuszniejsze jak przedtem.

— Ale powiedz mi, Małgorzato, co mogło być powodem tej choroby?

— Rozwinęła się bez widocznego powodu. Może przyniosłam już na świat jej zarody, i tylko wzmagała się tak nieznacznie że nie zwróciło to naszej uwagi. Przypominasz sobie zapewnie że w Winchester u państwa Blake, nie biegałam nigdy a chodziłam mało. Lubiłam najlepiej siedzieć spokojnie i dla tego pani Blake oskarżała mnie o lenistwo, tymczasem były to pierwsze objawy choroby. Ale mówmy teraz o tobie, Łucyo, nie potrzebuję się pytać czy jesteś szczęśliwą?

Łucya zarumieniła się jak pączek róży: brakło jej słów na określenie swego szczęścia. Opowiedziała wszystkie szczegóły dotyczące jej małżeństwa i pobytu za granicą, i przyrzekła miss Sumnor że odwiedzi ją wkrótce wraz z mężem. Zaczęła mówić o nowym kościołku, i czoło chorej zachmurzyło się trochę!

— Ojciec mój bardzo się tem zmartwił, Łucyo! potrzeba drugiego kościoła wcale się tu czuć nie dawała, choćby to był kościół czysto anglikański nie miałby kto w nim bywać: nasz już jest zbyt wielki dla miejscowej ludności. Ojciec ubolewa bardzo nad tem że tworzy się tyle sekt nowych. W obecnym razie cała wina spada na Teresę Blake.

— Tłomaczy się tem że pragnie bywać codzień na nabożeństwie, że to jest dla niej rzeczą niezbędną.

— Parę lat temu, ojciec starał się zaprowadzić codzienne nabożeństwo, ale był zmuszonym porzucić ten zamiar, gdyż nikt prawie nie uczęszczał na nie; zwykle był sam tylko w kościele.

— Nie sądzę aby to dzieło Teresy było trwałem, rzekła Łucya żegnając przyjaciółkę.

Karol nie przyszedł na lunch, ale zeszli się razem przy obiedzie. Łucya opowiadała mu różne szczegóły o miss Sumnor, i prosiła aby tam poszedł z nią razem po swym powrocie z Londynu, gdzie miał się udać nazajutrz. Miss Blake która nie wiedziała dotąd o tej jego podróży, zapytała jak długo zamierza tam bawić.

— Dwa, lub trzy dni, odpowiedział. Potrzebuję załatwić wiele interesów.

— Najlepiej będzie jeżeli zabierzesz mnie z sobą, Karolu, powiedziała Łucya.

— Nie, Łucyo, zaledwie wróciłaś z długiej podróży i potrzebujesz odpocząć.

Miss Blake, stosownie do obmyślonego zawczasu planu, zaczęła opowiadać swobodnie swą ranną przygodę, tylko ma się rozumieć nie przedstawiając rzeczy we właściwem świetle, i nie wspominając o tem że widziała mistress Grey. Przechodząc koło miejsca zwanego Labirynt, zastała bramę otwartą weszła tam i zabłądziła. Jakaś służąca odprowadziła ją do bramy, zanim to jednak nastąpiło, miała czas zobaczyć ładny domek, duży trawnik, piękne kwiaty i kalekę ogrodnika.

Miss Blake nie zadziwiła się wcale gdy spostrzegła że blada twarz sir Karola pokryła się szkarłatnym rumieńcem. Zwrócił się prędko do stojącego za nim służącego.

— Hewitt'cie, zawołał z żywością, to nie to samo reńskie wino które piłem wczoraj.

— Wybacz, sir Karolu, to samo, przynajmniej tak mi się zdaje.

Wziął w rękę butelkę, i zaczął ją oglądać starannie. Miss Blake zdawało się że Hewitt był równie zmieszany jak pan jego. Ta rozmowa o winie jest tylko wybiegiem z jego strony, pomyślała.

Hewitt wrócił na swoje miejsce ze zwykłą sobie powagą i napełnił powtórnie kieliszek pana. Karol zaczął z nim mówić o winie i piwnicy, ale miss Blake nie zważając na to zapytała.

— Czy znasz, sir Karolu, miejsce zwane Labiryntem?

— Trochę.

— A mieszkającą w nim osobę, mistress Grey, jeźli się nie mylę?

— Widziałem ją, odpowiedział krótko Karol.

— A! widziałeś ją sir Karolu! kiedy?

— Pisała do mnie prosząc abym kazał coś odświeżyć, czy naprawić i poszedłem tam chcąc się przekonać czy to rzeczywiście potrzebne.

— Już po powrocie.

— O! nie. Wkrótce po śmierci matki.

— Czy ci się to nie wydaje dziwnem, sir Karolu, że kobieta młoda żyje tak samotnie?

— Widać że to jest zgodne z jej gustem i usposobieniem. Mówiono mi że mąż jej był zmuszony wyjechać gdzieś daleko.

— Więc nie znasz ich bliżej? wypytywała się dalej Teresa.

— O! nie.

Nie! a wchodzisz tam bez ceremonii, otwierając bramę kluczem wyjętym z kieszeni! pomyślała miss Blake przygryzając usta.

— Znam bardzo niedokładnie jeszcze Foxwood i mieszkańców jego, dodał sir Karol. Mówiłaś Łucyo o miss Sumnor, czy stan jej zdrowia jest rzeczywiście tak zatrważający? dodał zwracając się do żony.

Chciał koniecznie zmienić przedmiot rozmowy, było to rzeczą widoczną. Z jakiego powodu?... miss Blake tworzyła najdziwaczniejsze i nie zgodne z miłością bliźniego przypuszczenia.

— Będę zwracać na niego baczną uwagę, mówiła w myśli. Dla dobra religii i moralności muszę dowiedzieć się prawdy!

XIV.

Miss Blake na czatach.

— Czy pójdziesz ze mną, Łucyo, na inauguracyjne nabożeństwo?

— Nie, Tereso, odpowiedziała lady Andinnian, wstrząsając przecząco głową.

— Czemu? rozerwałabyś się trochę.

Sir Karol bawił już cztery dni w Londynie, więc Łucya tęskniła za nim, oczekując niecierpliwie jego powrotu, a każdy dzień wydawał jej się nieznośnie długim. Pomimo to nie mogła uledz podobnej pokusie.

— Zdaje mi się, Tereso, że Karol nie byłby zadowolonym gdybym poszła do nowego kościoła. Dziękuję ci jednak za twoją troskliwość o mnie.

— Czy zamierzasz iść we wszystkiem za przykładem sir Karola?

Lady Andinnian nie domyśliła się szyderstwa ukrytego w tych słowach.

— Mam nadzieję że potrafię zawsze ustrzedz się wszystkiego coby mogło sprzeciwiać się jego życzeniom, odpowiedziała rumieniąc się lekko.

— Wybornie. Ale jeżeli nie chcesz pójść do kościoła, to mogłabyś przyjść później na *Kettle-drum.*

— Na Kettle-drum! powtórzyła Łucya. Na jaki Kettle-drum?

— Na ten który urządziłyśmy u mistress Jinks... to jest w mieszkaniu pana Cattacomb... w celu zaprezentowania go przyjaciołom, pomówienia o interesach i funduszach parafialnych.

Lady Andinnian spojrzała na nią z zadziwieniem.

— O funduszach, interesach parafialnych? Co ty mówisz Tereso?

— Tak, trzeba przecie wszystko obmyśleć i uporządkować.

— Czy nie będzie to wdzieraniem się w prawa i obowiązki pana Sumnor? rzekła Łucya.

— Bynajmniej, odrzekła wyniośle Teresa. Czy mam wstąpić po ciebie po nabożeństwie?

— Nie, Tereso, wolę pozostać w domu. Nie mam ochoty być na tym Kettle-drum.

— Zrób jak chcesz, odpowiedziała zimno Teresa, zależy to zupełnie od twej woli.

Nowa kaplica miała być nakoniec otworzoną, gdyż wielebny Gwidon Cattacomb zjawił się nareszcie po kilkodniowem opóźnieniu, z którego wytłómaczył się w sposób zadawalniający. Przybył rano, a tegóż samego dnia po południu miała się odbyć uroczysta inauguracya. Miss Blake była już zupełnie ubrana gdy rozpoczęła powyższą rozmowę z lady Andinnian; wyszła więc sama, i wkrótce

weszła do kaplicy wraz z innemi kobietami, po większej części młodemi i młodziutkiemi.

Tworzono dotąd różne przypuszczenia co do powierzchowności nowego pastora, dla tego też wszystkie oczy zwróciły się na niego ciekawie, gdy wyszedł z zakrystyi dla rozpoczęcia nabożeństwa. Zobaczyły człowieka młodego, wysokiego, bez zarostu, z oczyma wzniesionemi w górę. Trudno było zaprzeczyć że co do piękności zewnętrznej nowy pasterz nie liczył się do hojnie uposażonych, ale za to posiadał wiele zapału i — jeżeli wolno wyrazić się tak o duchownym — próżności. Z każdego jego spojrzenia, słowa, ruchu można było poznać jak wysokie miał o sobie wyobrażenie. Odprawiane przez niego nabożeństwo było dziwaczne, ale działające silnie na wyobraźnię. Pan Cattacomb miał głos dźwięczny i silny, ale zepsuty przesadą niemiłą dla ucha i każącą się domyślać braku szczerości. Miss Joanna Saint-Henry grała na melodykonie a inne panie śpiewały, wcale dobrze nawet, ale czuć się dawał zupełny brak głosów mezkich. Było także kazanie krótkie, wypowiedziane z pośpiechem i całkiem niezrozumiałe dla słuchaczy, jak się to często zdarza. W czasie kazania, miss Etheridge obejrzała się przypadkiem i spostrzegła doktora Moore.

— Stary Moore przyszedł na nabożeństwo! szepnęła do ucha Maryi Saint-Henry.

Tak, doktór był tam rzeczywiście. Żartował przy śniadaniu z nowego kościoła i założycielek jego, i oświadczył że musi być obecnym na tem pierwszem nabożeństwie, aby zobaczyć w jaki też sposób będzie odprawiane. W kaplicy było ciasno, wiele osób przybiegło aż z Basham. Pan Moore przebiegał oczyma rzędy krzeseł, nie było w nich jego córek. Są rozsądniejsze niż sądziłem, pomyślał. Mylił się jednak, panny Moore pozostały w domu bardzo niechętnie, i dla tego jedynie że obawiały się spotkać tam ojca. Pan Moore był dobrym i pobłażliwym, ale córki jego wiedziały że skoro raz oznajmił swą wolę, trzeba było zastosować się do niej ściśle. Gdyby je zobaczył w kaplicy, prawdopodobnie zabroniłby im uczęszczać do niej nadal, zostały więc w domu przez ostrożność a nie przez rozsądek.

Inauguracyjne nabożeństwo i mające po niem nastąpić zebranie u mistress Jinks poruszyło cały Foxwood. Przygotowania do *Kettle-drum* odbywały się na wielką skalę, ponieważ panie przesadzały się w dostarczaniu różnych artykułów żywności — masła, śmietanki, bułeczek, ciast, konfitur, owoców, i innych przysmaków które za długo byłoby wyliczać. Miss Blake przyniosła duże pudełko herbaty i przepyszny bukiet z kwiatów cieplarniowych, który wyłudziła od Macleana, ogrodnika sir Karola.

Droga do kaplicy i napowrót rozbudziła apetyt, zgodzono się więc chętnie i jednozgodnie aby do interesów przystąpić dopiero po herbacie. Przy stole, uginającym się pod ciężarem przysmaków, prezydowała miss Blake. Pokój był za mały dla tylu osób, każdy więc stał i siedział jak i gdzie mógł, starano się tylko aby pan Cattacomb miał wygodne miejsce. Miss Blake zmęczyła się już przyrządzaniem i nalewaniem herbaty, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach wchodowych, zwiastując przybycie nowych gości.

— Kto to może być? zawołała. Nie ma już ani jednego wolnego miejsca.

— Mistress Jinks poszła otworzyć. Były to panny Moore, które nie mogąc być na nabożeństwie, podążyły przynajmniej na *Kettle-drum*.

— Czy są tu jeszcze, mistress Jinks? zawołały wbiegając do sieni.

— A! są, są! odpowiedziała wdowa Jinks, tak drżąca z tłumionego gniewu, że aż jej się czepek poruszał na głowie. Z powodu tak wielkiej uroczystości, czepek był czysty i nie przyciśnięty kapeluszem.

— A! jak to dobrze! Czy już siedzą przy herbacie?

— Czy siedzą, miss Jemino. Mam nadzieję że przecie wkrótce od niej wstaną! Muszę wam powiedzieć prawdę, moje młode miss; gdy wynajmowałam mieszkanie dla wielebnego Cattacomb, nie zobowiązywałam się wydawać jakichś *Kettle-drum* dla całej parafii, posługiwać, nastawiać wodę, smażyć *muffins'y* i przez parę godzin nie mieć chwili spoczynku. Wyobrażałam sobie że będę miała lokatora cichego, spokojnego, a tymczasem!... Zupełnie jakbym trzymała oberżę.

Panny Moore wysłuchały w milczeniu tej skargi i weszły do salonu. Przedstawiono je panu Cattacomb i usiadły przy stole.

Kettle-drum skończył się nakoniec, i o godzinie szóstej miss Blake wracała już do Foxwood-Court. O interesach nie mówiono wcale, odkładając to na inny dzień ponieważ pan Cattacomb był zmęczony, a miss Blake osądziła że o tak ważnych sprawach stosowniej będzie naradzać się w mniej licznem zgromadzeniu. Dochodząc do Labiryntu spostrzegła na drodze pana Smith!

— Dobry wieczór pani.

Miał zamiar iść dalej, ale miss Blake zatrzymała się, dając tym sposobem poznać że chce z nim pomówić. Lubiła pana Smith, choć sama nie umiałaby powiedzieć za co; podobał jej się zaraz od pierwszego spotkania. Trzeba jednak dodać iż nie wątpiła że jest gentlemanem.

— Pan nie był na nabożeństwie w kaplicy, panie Smith, rzekła tonem wymówki.

— Jeżeli mam wyznać prawdę, zdawało mi się że nie byłbym tam na swojem miejscu, ponieważ kongregacya składa się z samych dam. Przechodząc tamtędy widziałem że zaledwie mogły się wtłoczyć do kaplicy.

— Mało jest gentlemanów w Fooxwood, a i ci spędzają dnie w Basham, gdzie powołują ich różne zajęcia, gdy tymczasem pan jest zupełnie swobodnym.

— Nie zawsze, miss Blake, zajmuję się interesami sir Karola Andinnian.

— Doprawdy! Zapewnie jako przyjaciel?

— Bezwątpienia,

— Muszę jednak panu powiedzieć że się pan pomylił utrzymując iż nie było w kościele żadnego gentlemana, ponieważ był pan Moore.

— Tak, zabawił tam kilka minut; a następnie wyszedł śmiejąc się. Zadawałem nawet sobie pytanie co mogło go tak rozśmieszyć, i przyszło mi na myśl że może obecność córek pana Sumnor.

— Doprawdy, panie Smith, posądzam pana że poszedłeś tam umyślnie aby nas śledzić, rzekła miss Blake.

Pan Smith odparł śmiejąc się tak srogie oskarżenie i pożegnał miss Blake.

— Wszyscy zachwycali się twoimi kwiatami, rzekła miss Blake do ogrodnika, przechodząc koło jego mieszkania w którem pił właśnie herbatę, siedząc wraz z żoną przy otwartem oknie. W całej okolicy nie ma równie pięknych kwiatów.

Maclean podziękował za pochwałę, a miss Blake oddaliła się i weszła do domu szklanemi drzwiami północnego saloniku.

— Gdzież Łucya? zapewnie ubiera się lub wygląda oknem czy mąż nie wraca. Biedna kobieta! nie zasługuje on wcale na podobną miłość.

Przeszła schody pokryte dywanem i zapukawszy do drzwi lady Andinnian weszła prawie jednocześnie. Łucya stała przy mężu który ją trzymał wpół, pochylony ku jej twarzy wspartej na jego piersi.

Miss Blake zmięszana, przygryzła usta; Łucya wyprostowała się zarumieniona i uśmiechnięta; Karol roześmiał się głośno.

— Nie wiedziałem że juz wróciłeś, sir Karolu.

— Przyjechałem kilka minut temu, odpowiedział podając jej rękę. Łucya mówiła mi właśnie, miss Tereso, że poszłaś na *kettle-drum*, ja zaś powiedziałem jej trochę niegrzecznie, że jej się to śniło zapewnie. *Kettle-drum* w Foxwood!...

Rozeszli się dla zmienienia toalety. Miss Blake przygryzała usta wracając do swego pokoju; czuła się dziwnie rozdrażnioną. Pomimo największych usiłowań i żalu do Karola, nie mogła dotąd uleczyć się z miłości dla niego.

Jeżeli to zazdrość, szepnęła rzucając się na krzesło — odpinając woalik drżącemi palcami, to powinnabym sobie czynić ciężkie wyrzuty... Sądziłam że to już minęło.

Przy obiedzie Karol był weselszy niż zwykle. Opowiedział im że był w teatrze Opery i słyszał sławną śpiewaczkę, Irmę Murską, występującą w „Robercie dyable”.

— A ja nie byłam z tobą, Karolu! zawołała Łucya.

— Pojedziemy do Londynu po to jedynie, abyś ją usłyszała. Gdy zaczęła śpiewać „Robercie, ty kochanku mój” zelektryzowała wszystkich. Nie słyszałem nigdy nic podobnego, prócz tego przedstawia się bardzo dobrze na scenie i ubiera się przepysznie.

— Czy widziałeś w teatrze kogo ze znajomych?

— Nie rozglądałem się bardzo po sali. Widziałem tylko w królewskiej loży księcia i księżnę Walii.

— Cieszy mnie to bardzo że byłeś w teatrze i rozerwałeś się trochę.

— Cóż miałem czynić. Przez cały dzień byłem zajęty interesami, ale wieczorem nudziłem się bardzo.

— Zupełnie jak ja gdy ciebie nie było, Karolu.

Podziękował jej tylko spojrzeniem, którego miss Blake wolałaby nie widzieć. Czemuż Łucyę a nie ją obsypywano temi skarbami miłości?

— Sir Karolu, zawołała nagle, kto jest ten pan Smith?

— Nie wiem, odpowiedział z roztargnieniem Karol, zamyślony o czem innem.

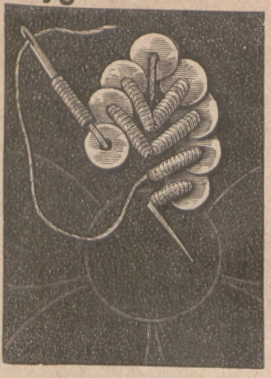
— Nie wiesz, sir Karolu! Wszakże jest twoim rządcą... i przyjacielem.

Karol rozbudził się z zamyślenia;

— Czy wiem kto jest pan Smith? powtórzył (i westchnął do nieba aby tak było w istocie). Co przez to rozumiesz, miss Blake? Jest panem Smith, i rzeczywiście... czemś nakształt rządcy dóbr moich.

Powiedział to żartobliwie jakby chciał rzecz całą w żart obrócić.

(*D. c. n.*)



N. 2. Wyszycie kwiatka. Haft srebrem do ryc. 1.

Opis do N-ru 19.

(Dalszy ciąg.)

N. 19—20. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 67—70.

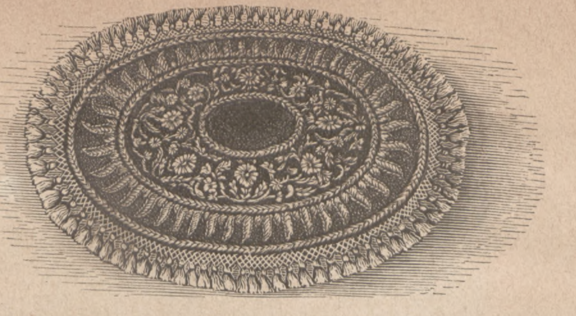
Prosta falbana dopełniająca plecy, złożona w cztery szerokie kontrafałdy, liczy 128 cent. szerokości; w pelerynce po zaszyciu ramion, zbywająca szerokość zakłada się na środku pleców w kontrafałdę; zwróconą pod spód. Wykrój szyi otoczony riuszą 3½ cent. szeroką; guziczki z konchy perłowej; brzegi zdobią rzędy stębnówki; kokardy z wstążki.

N. 21—22. Kołnierz pelerynowy. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 84.

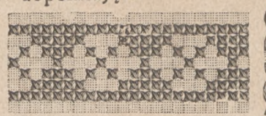
Kołnierz pelerynowy przedstawiony z odmiennego materyału na ryc. 21—22, stanowi ładne dopełnienie wiosennej toalety. Uszyty z czarnego pluszu na jedwabnej podszewce, bez zaszewek na ramionach, jest podług ryc. 21 zebrany w fałdy i zapięty z przodu kokardą atłasową. Drugi kołnierz z materyi jedwabnej, zdobny haftem aplikowanym z kaszmiru i ogarnirowany hiszpańską koronką.

N. 24—25. Suknia z pelerynką. Krój pelerynki na arkuszu N. XVIII, fig. 39.

Ryc. 24 i 25 przedstawiają przód i plecy sukni, przy której panier jest z przodu przemarszczone w nagłówek, na 13 cent. szerokości, a z tyłu gładko przyszyte na baskinie stanika. Falbany plisowane liczą po 20 cent. szerokości. Tunika składa się z przodu sfałdowanego fartuszkowo, z pod którego wysuwają się gładko spadające boki, ozdobnie haftowane i z suto udrapowanego tylnego bryta 110 cent. długiego, 80 szerokiego, przypiętego u góry na wierzchu stanika. Pelerynka kraje się podług fig. 39 i przymarszcza pod szyją podług linii gładkiej, oznaczonej na formie; końce z przodu spięte szeroką kokardą.



N. 1. Patarafka. Haft srebrem. Patrz ryc. 2—5.



N. 6. Szlaczek krzyżykowy.



N. 13. Wyszycie ściegów brzeżnych do szlaku r. 4.



N. 7. Szlaczek krzyżykowy.



N. 4. Szlak do patarafki ryc. 1. Haft srebrem patrz ryc. 2—3.



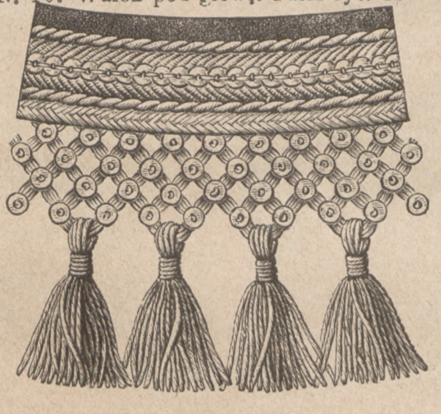
N. 8. Kapotka z metalowej koronki.



N. 10. Wałek pod głowę. Patrz ryc. 35 w N. 18.



N. 11. Żabot z materyi i koronki.



N. 5. Frendzla do ryc. 1.



N. 12. Żabot z materyi i koronki.



N. 3. Wyszycie wązkiego szlaczka. Haft srebrem do ryc. 1.

N. 27. Okrycie z fałdowaniem. Przód i krój na arkuszu N. V, fig. 17—23.

Eleganckie letnie okrycie odrobione jest z ciemno-zielonego pekinu i takiegoż kaszmiru; rękawy odznaczają się nową formą; przybranie stanowi szeroka jedwabna frendzla ze sznelą i kokarda z morowej wstążki 20 cent. szerokiej. Środkiem przodów dane jest plisowanie, rozrzucające się u dołu, odznaczone na formie linją prostą; krótkie boczki przyszyte są od i do k, zaś wązkie fałdowane plecy są tylko przy m przyszyte i dopełnione kokardą, wysuniętą z pod rozrzucającego się plisowania Szerokie długie rękawy kaszmirowe (fig. 20), stanowiące zarazem część pleców, są podwinięte u dołu i od m do * przyczepione do boków; spodnia część rękawa (fig. 21) łączy się szwem ze zwierzchnią częścią od s do t i od p do q, zaś brzeg tylny jest nie przyszyty. U ręki podług cienkiej linii na formie, rękaw zmarszczony jest do 26 cent., z nagłówkiem 4 cent. szerokim, podszytym atłasem. Od o do u rękaw zszywa się z przodami, a od n przymarszcza do wykroju szyi, ogarnirowanego następnie riuszą.



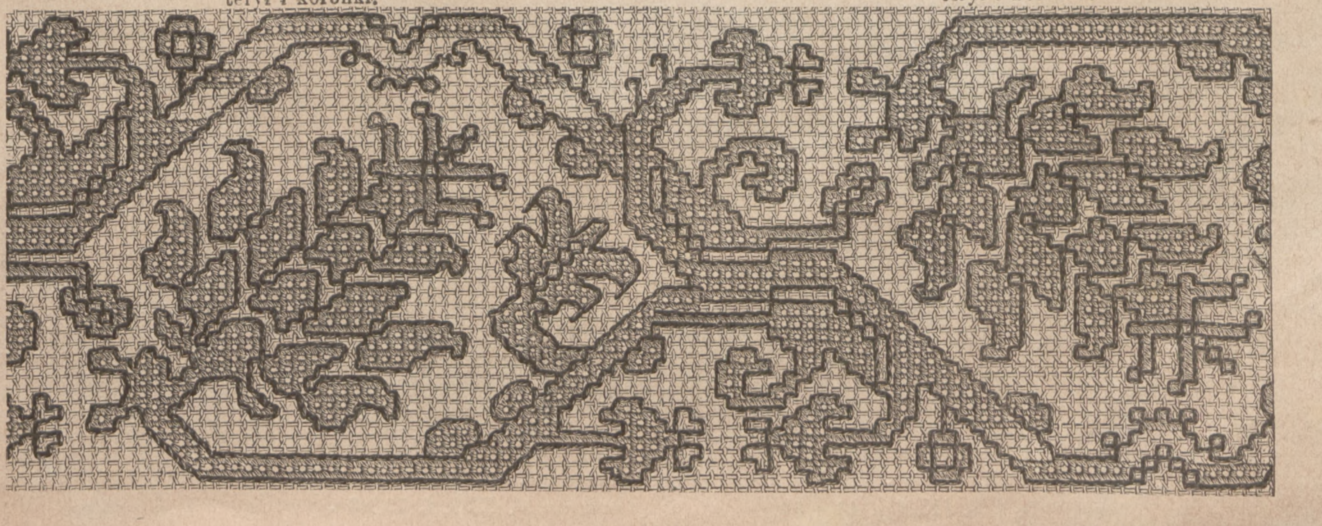
N. 9. Kapotka z angielskiej słomki.

N. 28. Ubranie dla chłopca lat 7—9. Krój na arkuszu N. XV, fig. 74—78.

Złożone jest z żakieta, kamizelki i krótkich majtek i odszyte z korciku w wązkie paski, podług kroju załączonego na arkuszu; jedyne przyozdobienie stanowią rzędy stębnówki dane brzegiem żakieta. Ozdobne podwiązki z klamerkami, przytrzymują poniżej kolan majtki ściągnięte na elastykę. Szeroki kołnierz płócienny; krawat kolorowy jedwabny, pończochy w paski i wysokie sznurowane buciki.

N. 29. Ubranie dla panienki lat 9—11. Krój na arkuszu N. III, fig. 8—10a.

Podług fig. 3—10 kraje się gładką podszewkę, materyał zaś zwierzchni fałdowany i przemarszczony kraje się szerzej podług zmniejszonego formatu fig. 8a—10a. Spódniczka na długość zakończona jest falbaną 22 cent. szeroką, zło-



N. 14. Szlak. Wyszycie ażurowe na kanwie siatkowej. Patrz ryc. 13 tudzież ryc. 18 w N. 18.



N. 15–16. Płaszczyk z fałdowaniem. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 62—66a.



N. 17. Kapotka zdobna kwiatami.



N. 19. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 20.



N. 21. Kołnierz pelerynowy. Patrz ryc. 22. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 84.



N. 23. Pantofe[…]zany.



N. 22. Kołnierz pelerynowy. Patrz r. 21.



N. 20. Płaszczyk z pelerynką. Patrz r. 19. Krój na arkuszu N. XIII.



N. 18. Kapelusz okrągły zdobny kwiatami.



N. 24—25. Suknia z pelerynką. Krój pelerynki na arkuszu N. VIII, fig. 39.



N. 26. Pas do welocipedu.



N. 32. Pasek atłasowy z klamrą szyldkretową.



N. 28. Ubranie dla chłopca lat 7-9. Krój na arkuszu N. XV, fig. 74-78.

N. 29. Ub[…]panienki lat 9-1[…] na arkuszu N. […]8-10a.

N. 30. Sukieneczka z szarfą.



N. 27. Okrycie z fałdowaniem. Krój i przód na arkuszu N. V, fig. 17-23.

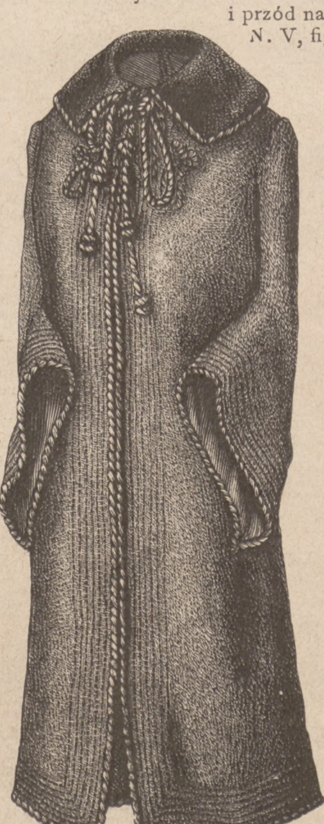


N. 31. Okrycie garnirowane koronką.



N. 33. Suknia ze stanikiem z baskiną.

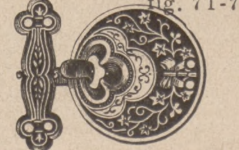
N. 34. Suknia ze stanikiem z odciętą baskiną. Krój na arkuszu N. IX, fig. 44—52.



N. 35. Płaszczyk dolmanowy. Patrz ryc. 36. Krój i opis na arkuszu N. XVI, f. 79-83a.



N. 37. Płaszczyk z peleryną dla panienki lat 12—14. Krój i opis na ark. N. XIV, fig. 71-73.



N. 38. Guzik metalowy.



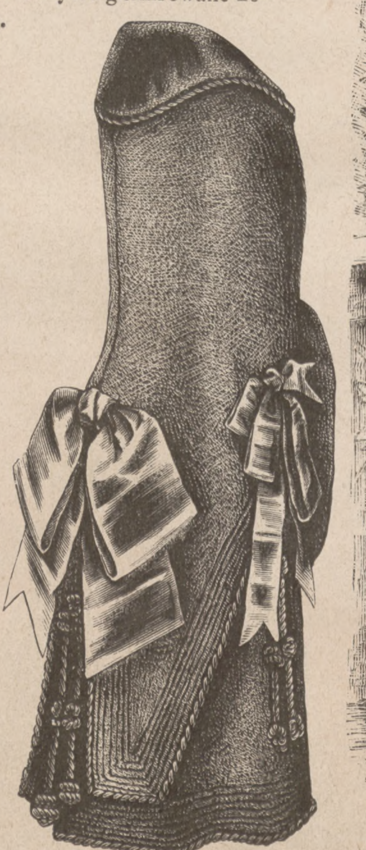
N. 39—40. Paletocik[…]. Krój na arkuszu N. IV, […]—16.



N. 41. Paletocik półwcięty. Krój na ark. N. VI, f. 24-30.



N. 42. Guzik metalowy.



N. 36. Płaszczyk dolmanowy. Patrz ryc. 35.



N. 43. Płaszczyk z szerokim marszczonym kołnierzem. Krój i plecy na arkuszu N. II, fig. 5—7.

N. 44. Płaszczyk wiosenny Krój i opis na arkuszu N. XI, fig. 56—61a.

żoną w kontrafałdy 4 cent. szerokie; powyżej w odstępie dana bufa marszczona, 14 c. szeroka, z nagłówkiem, u góry zaś między bufą i falbaną przewiązany skos aksamitny, 9 cent. szeroki. Kołnierz, mankiety i pasek z aksamitu.

N. 30. Sukieneczka dla dziewczynki.

Odrobiona z cienkiego wełnianego materyału formą princesse, przedłużona plisowanym wolantem 15 cent. szerokim, nad którym brzegiem sukienki odwinięty jest szlak haftowany; na rękawach wykłady haftowane, u dołu pleców szeroka kokarda z tego co suknia materyału. Na szyi oryginalnie zawiązana trójkątna chusteczka, z końcami spadającemi na plecach.

N. 31. Okrycie garnirowane koronką. Przód na fig. 85 na arkuszu z krojami.

Uszyte z ciężkiego czarnego atłasu, jest środkiem pleców rozcięte na 40 c. wzdłuż; brzegi przecięcia garnirowane są hiszpańską koronką 15 cent. szeroką, układaną wachlarzowo, która wyżej aż do szyi naszyta jest wzdłuż gładko. Wykrój szyi garnirowany plisowaną koronką 8 cent. szeroką i ruszą stojącą, ułożoną z koronki 5 cent. szerokiej. Dolny brzeg okrycia i rękawów zdobi koronka szeroka i wązka, dana wzdłuż przodów wachlarzowo. Kokarda z morowej wstążki.

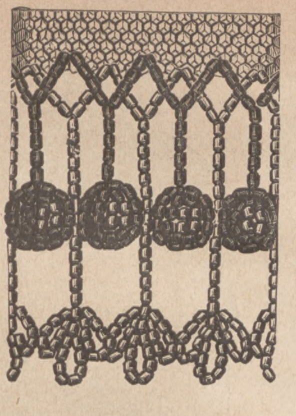
N. 33. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Ładne przybranie sukni z granatowego kaszmiru stanowią falbany dwie po 30 cent., jedna 15 cent. szeroka, wycięte u dołu w okrągłe zęby 8 cent. długie, podszyte materyą bladoniebieską; dwie szersze falbany przemarszczane są w połowie szerokości. Takież zęby zakończają tunikę, zachodzącą na baskinę stanika, zebraną wysoko z jednego boku, a z tyłu dopełnioną prostym podpinanym brytem i szeroką atłasową kokardą. Gładki długi stanik przystraja korokowy kołnierzyk i długi trójkątny żabot, przypięty u dołu bukiecikiem z kwiatów. Kapelusz granatowy słomkowy, podszyty aksamitem, z wierzchn zdobny piórem i kwiatami.

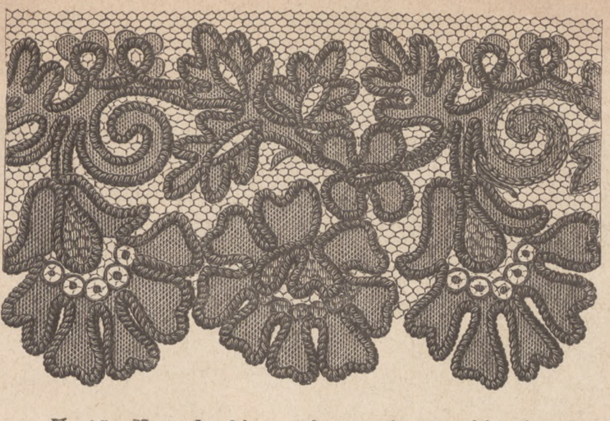
N. 34. Suknia ze stanikiem z odcinaną baskiną. Krój na arkuszu N. IX, fig. 44—52.

Przody tylko do pierwszej zaszewki kraje się w całej długości, dalej zaś równie jak boczki dopełnione są odciętą baskiną. Do pleców dodana na długość część oddzielna, której wymiar wskazuje fig. 49, z boków założona w kontrafałdę a środkiem zaplisowana. Fig. 52 daje formę wykładu krajanego podwójnie z podszewką w środku. Na spódnicy dany wolant 10 cent. szeroki, a nad nim bufa 35 cent. szeroka; upięcie tuniki wskazuje r. 34. Suknia spacerowa była z beżu bronzowego w drobną kratkę, z przybraniem z bronzowego atłasu.

(D. n.)



N. 46. Frendzla z perełek.



N. 45. Koronka hiszpańska do okryć, sukien i t. p.



N. 47. Frendzla z grelotkami.



N. 49. Rozeta szmuklerska.



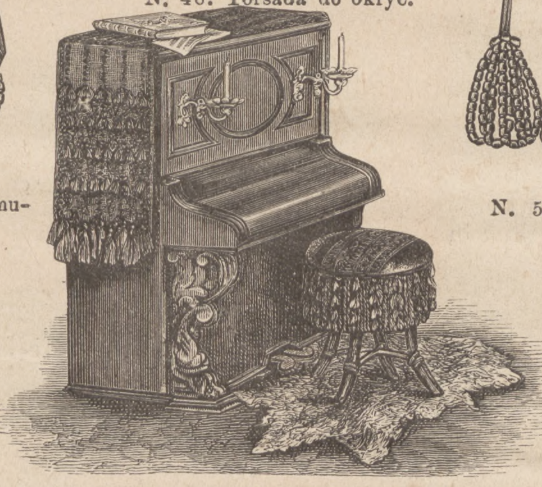
N. 48. Torsada do okryć.



N. 50. Rozeta szmuklerska.



N. 51. Torsadka szmuklerska.



N. 53. Przykrycie na pianino. Patrz ryc. 54.

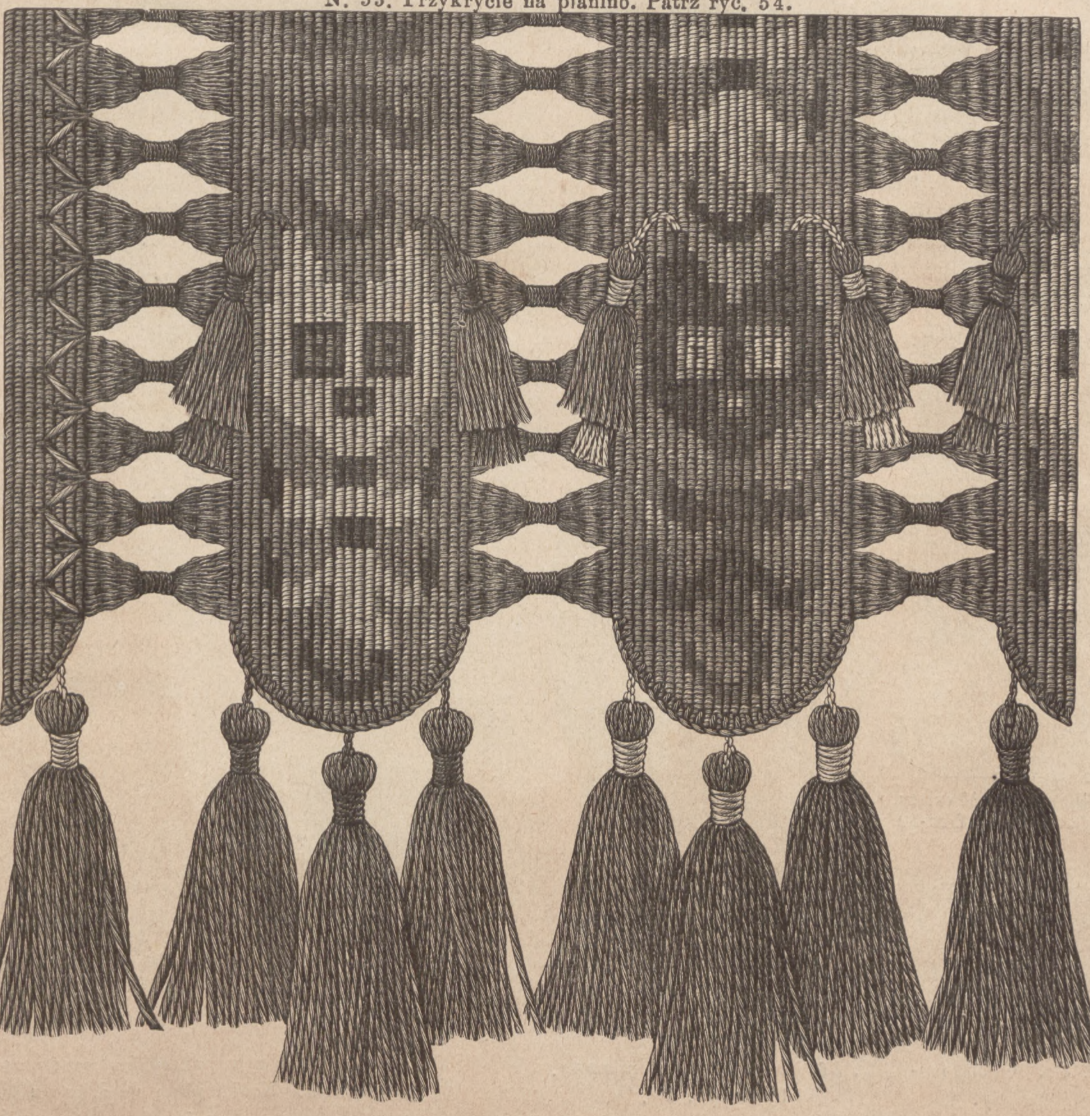


N. 52. Torsadka szmuklerska.

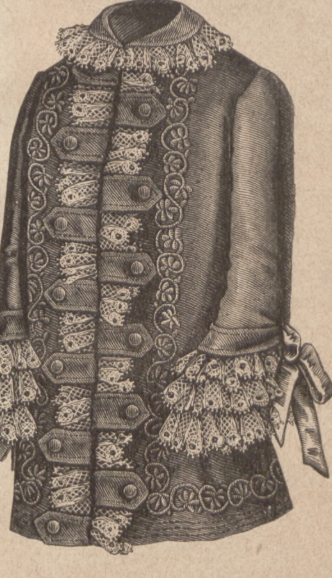


N. 55. Spódnica z szerokim haftem.

N. 56. Spódnica flanelowa. Patrz ryc. 57.



N. 54. Część haftu peruwiańskiego z kratką ażurową do ryc. 53.



N. 57. Kaftanik ranny flanelowy do spódniczki ryc. 56.